

Zbigniew Wawszczak

Na zjeździe „oświeconych sękalów”...

Bywają rozmaite przezwiska, ironiczne, złośliwe, uszczypliwe lub też pochlebne. Odrzykonian, wsi słynącej szeroko choćby z ruin średniowiecznego zamczyska, nie znam dostatecznie dobrze, a by coś w tej materii stanowczo twierdzić. Przyjmuję więc za dobrą monetę wykładnię określenia „sękale”, z którą zapoznali mnie „oświeceni” odrzykoniancy, podczas zjazdu absolwentów szkół średnich i wyższych. Wykładnię oczywiście pochlebną:

— „Przydomek „sękale” — tłumaczono mi — określa trafnie charakter mieszkańców Odrzykonian. Są to na ogół ludzie twarde, uparci, wytrwale realizujący podjęte zamierzenia. Sam zaś termin „sękale” pochodzi od wyrazu sęk, a ten jak wiadomo jest wyjątkowo twardy, na sęku stalowy topór można wyszczerbić...”

Tak oto znalazłem się pośród „sękali”, reprezentujących co najmniej trzy pokolenia. Dlaczego „oświeconych”? A no z tej prostej racji, że w dniach srebrnych godów naszej ludowej Ojczyzny (20—22 ub. m.) spotkali się w rodzinnej wsi absolwenci szkół średnich i wyższych.

1. Odległe tradycje...

Odrzykoń, położony w pobliżu stosunkowo dużego miasta (Krosna), skupiającego od dawna rozmaite szkoły, należy do wsi, które wcześniej, bo już z początkiem naszego stulecia, pojęły wagę i znaczenie oświaty. Już w roku 1908 odbył się tutaj pierwszy zjazd absolwentów szkół, wyższego stopnia aniżeli ludowe. Nie wielu było na tym zjeździe uczestników, bo też i warunki kształcenia dzieci w tamtych cesarsko-królewskich czasach były dla chłopkiego dziecka wyjątkowo trudne. Nie chodziło tu już o same tylko opłaty, które kładły się ciężkim brzemieniem na ramionach rodziców, usiłujących dziecko kształcić, ale i atmosfera w szkołach średnich była wyjątkowo takiej edukacji niesprzyjająca. Stosunki te znamy doskonale choćby z kapitalnych wspomnień „Z Komborni w świat” znakomitego uczonego, prof. Stanisława Pignonia.

Na drugi z kolei zjazd, który odbył się pod koniec II Rzeczypospolitej, w 1936 roku, przybyło już znacznie więcej absolwentów. Nadal przecież edukacja chłopkiego dziecka stanowiła problem nielatwy do rozwiązania. By zaś nie być gołosłownym, przytoczę tu liczbę, która i dla moich rozmówców z Odrzykonian stanowiła swego rodzaju zaskoczenie. Otóż po skrupulatnych obliczeniach okazało się, że w 1936 roku było w Odrzykoniu zaledwie sześciu absolwentów szkół wyższych (pomijając duchownych). Nie był to zatem dorobek zbyt świetny i stanowił chyba w jakiejś mierze odbicie kryzysowej sytuacji wsi polskiej w okresie

międzywojennym, wsi przeludnionej, o rozdrobnionej strukturze gospodarczej, o setkach „zbędnych rąk” do pracy, których nie mógł wchłonąć ani przemysł, ani miasto. Z drugiej strony był to jednak dorobek wsi rozbudzonej politycznie (od dawna rozwijał się tu ruch ludowy, przyjeżdżali jego przywódcy), aktywnej kulturalnie. Od 75 lat istnieje tu po dzień dzisiejszy orkiestra dęta, od 60 lat śpiewa chór mieszany „Harmonia”, straż pożarna należy do najruchliwszych i najstarszych w powiecie. Nie można więc podkrośnieńskiego Odrzykonian zestawiać ze wsiami peryferyjnymi i zacofanymi, które z trudem mogą doliczyć się 1—2 maturzystów, wykształconych w czasach II Rzeczypospolitej.

2. ...eksplozja oświatowa powojennego ówierewicza

Jednak prawdziwą miarę gwałtownego skoku, jaki dokonał się w edukacji odrzykonianków dały dopiero liczby, ujawnione na III Zjeździe absolwentów szkół średnich i wyższych, 20 lipca br.

Okazało się bowiem, że w dwudziestopięciolecie powojennym szkoły średnie i wyższe ukończyło ponad 350 córek i synów odrzykońskich chłopów, a gdy z kolei próbowano wyodrębnić liczbę absolwentów tylko szkół wyższych — przekroczyła 100 osób. W zestawieniu z przedwojennymi 6 osobami w całej okazałości wyszła na jaw owa eksplozja oświatowa, ów ogromny skok w kształtowaniu kadr „oświeconych” odrzykonianków. Dziś bowiem Odrzykoń „dorobił” się prawdziwej armii wysoko kwalifikowanych specjalistów różnych dziedzin, zdolnych, gdyby ich zebrać razem, do kierowania rozmaitymi, skomplikowanymi przedsięwzięciami czy instytucjami.

Na zjazd przybyła ledwie trzecia część tej „armii”, co gospodarze tłumaczyli nie tyle lekceważeniem samej idei tego typu spotkań, mającej, jak już wykazałem, odległe i ugruntowane tradycje, ile porą, która wypadła co prawda w momencie szczególnie uroczystym, centralnych obchodów srebrnych godów Polski Ludowej, ale jednak przecież w samym środku wakacyjnych rozjazdów urlopowych.

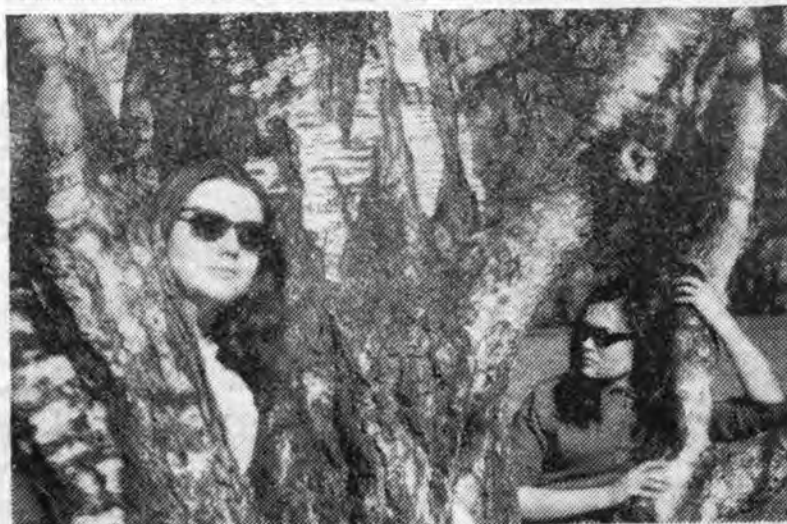
3. ...inżynierowie, lekarze, nauczyciele

Wszakże i pośród tych, którzy zjawili się w pięknej sali odrzykońskiego domu kultury, znalazło się wielu ludzi ciekawych, wybijających się, godnych bliższej prezentacji. Podczas obfitego, zjazdowego obiadu, pilnie wypytywałem właśnie o nich. Mówiono mi o

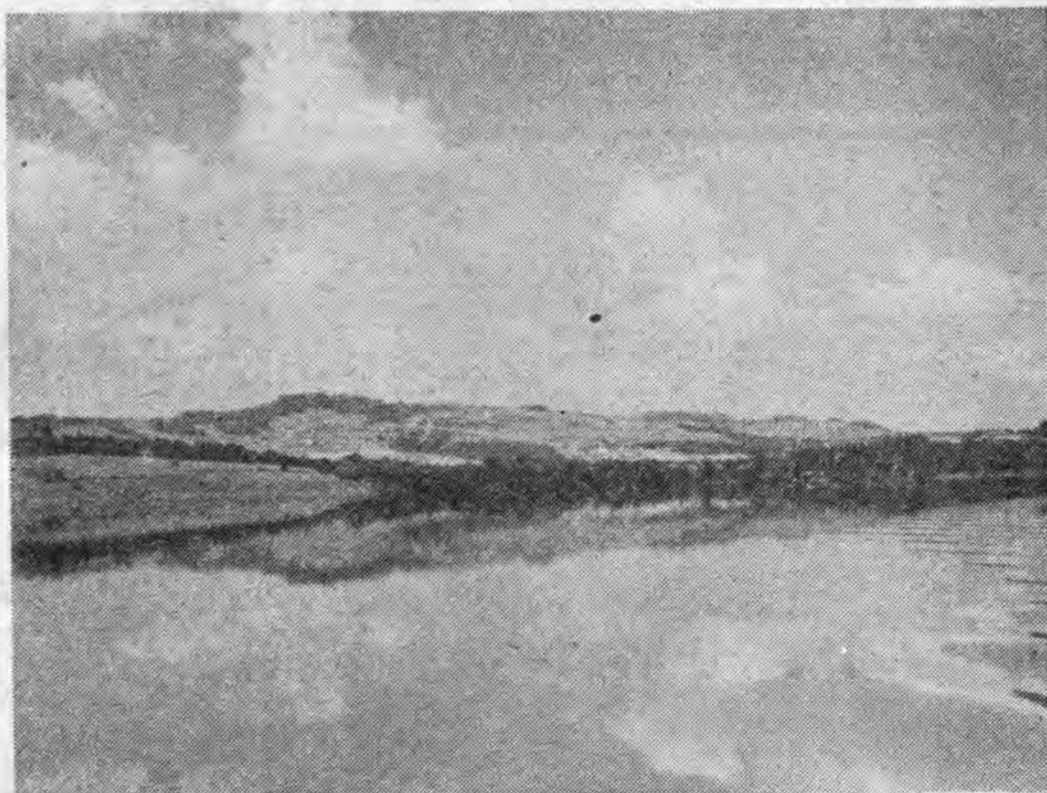
L
A
T
O,

L
A
T
O...

O...



Fot. M. KOPEC



Ignacy Krasicki

W ogniu krytyki — celibat

Gdy podczas II Soboru Watykańskiego pewien biskup z Brazylii usiłował, oględnie i z należytymi sprawami zastrzeżeniami, poruszyć możliwość uchylenia wymogu bezżenności księży w pewnych szczególnych wypadkach, nie pozwolono mu wygłosić tego przemówienia. Papież zaznaczył wówczas z naciskiem, że kwestia celibatu w żadnym razie nie może podlegać dyskusji. Od Soboru upłynęły jednak cztery lata i — jak nigdy od czasów Reformacji Lutera — sprawa celibatu jest oficjalnie w Kościele dyskutowana, a obowiązek bezżenności księży ostro krytykowany.

Najlepszym przykładem stanu umysłów panujących w tej dziedzinie w Kościele był przebieg zakończonego niedawno II sympozjum biskupów w Chur (Coire). Nikt chyba nie spodziewał się, że właśnie na reprezentatywnym forum 115 kardynałów i biskupów, delegowanych przez krajowe konferencje episkopatów Europy, zalanie się ten problem tak dramatycznie.

Atak na tradycyjną zasadę celibatu księży katolickich rozwinął się w Chur na dwóch płaszczyznach. Podjął go zgola oficjalnie w swym referacie kardynał belgijski Suenens, który w bardzo wyraźny sposób domagał się uchylenia zakazu bezżenności w pewnych ściśle określonych sytuacjach. I tak więc purpurat belgijski stwierdzał, że obecny kryzys powołał kapłańskich rodzi się przede wszystkim z powodu obowiązku celibatu. Postulował dalej, by specjalna wyznaczona przez papieża komisja teologów zbadała możliwość dopuszczenia do kapłaństwa ludzi żonatych wszędzie tam, gdzie jest to niezbędne dla normalnej działalności duszpasterskiej. W postulatcie tym pobrzmiewały echem wspomniane na wstępie propozycje biskupa brazylijskiego z okresu Soboru, kiedy, nie dopuszczony wtedy do głosu, pragnął modyfikacji zasady bezżenności właśnie w powodu kryzysu powołań kapłańskich w Ameryce Łacińskiej. Trzeba dodać, że kard. Suenens tak zdecydowanie i jasno stawiając postulat rewizji obowiązku celibatu księży nie był w Chur odosobniony. Także niektórzy inni referenci w purpurze, m. in. niemiecki kardynał Doepfner czy biskup Guyot z Tuluz, na marginesie rozwijanych tez dawali wyraz przekonaniu, że instytucja celibatu dojrzała do realistycznego przewartościowania.

Ale wymóg celibatu znalazł się ostatnio w ogniu krytyki także na innej, mniej oficjalnej i dlatego tym bardziej szerokiej i zasadniczej płaszczyźnie. Do Chur przybyło mianowicie niemal stu księży radykalnie protestujących

przeciwko zahamowaniu w Kościele realizacji uchwał ostatniego Soboru. Księżom tym nie wystarczyły argumenty półoficjalne, wysuwane przeciwko celibatowi przez dostojników kościelnych w rodzaju kard. Suenensa. Argumenty te bowiem sprowadzały się w zasadzie do tezy, że bez względu na taką lub inną moralną ocenę instytucji celibatu utrzymywanie jej w tradycyjnej formie zaostriży kryzys powołań. Jak wiadomo, Watykan przyznał niedawno, że tylko w ciągu ostatnich sześciu lat co najmniej 7137 księży świeckich i zakonnych prosiło Stolicę Apostolską o zgodę na zawarcie związku małżeńskiego, przy czym 5652 istotnie zezwolenia takie otrzymało. W tym kontekście postulat kard. Suenensa — rewizji instytucji celibatu — przedstawiałby się jako swojego rodzaju „złoty koniec” dla Kościoła.

Inaczej uważa jednak wielu teologów i kapłanów. Ich opinie, bardziej zrodzone z przesłanek etycznych aniżeli taktycznych, wyraził ksiądz protestujący przeciwko konserwatywnemu stylowi w Kościele, zebrani niezależnie od biskupów w Chur. Podjęli oni uchwałę, która domagając się zniesienia celibatu głosi m. in.:

„Obowiązek celibatu stanowi zaprzeczenie ducha Ewangelii. Stwierdzamy, że wykonujący swoje powołanie kapłani prowadzą potajemnie życie małżeńskie, ponieważ zmusza ich do tego obecny system kościelny. Ogranicza to wolność osobistą i upokarza zainteresowane kobiety. Nie można znieść dłużej pogardy okazywanej kobietom oraz niedoceniania małżeństwa na tle celibatu. Powrót do stanu świeckiego jest aktem upokarzającym dla laikatu i kapłanów. Wymóg celibatu rodzi ujemną selekcję przy doborze kandydatów do stanu duchownego”.

Są to wypowiedzi znacznie dalej idące i wyraźnie inaczej motywowane od stanowiska tak nawet konsekwentnie reformatorskiego, jak to, które zajął kard. Suenens.

Wszystkie powyższe fakty mówią o jednym: że postępujące procesy polaryzacji opinii wewnątrzkościelnej doprowadziły do stanu, w którym — bez względu na to, jakie padają argumenty — instytucja celibatu dojrzała do zdecydowania do istotnej reformy, modyfikacji i modernizacji.

Zapewne także i ten nabrzmiały aktualnością, delikatny i kontrowersyjny problem wewnątrzkościelny w tej lub innej postaci, bezpośrednio lub pośrednio, trafi na wokandy II Synodu Biskupów w Rzymie.

(Ciąg dalszy ze str. 1)

panu Wojnarze, naczelniku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, o Zdzisławie Sulimowskim, adiunkcie Politechniki Gliwickiej, o Karolu Wojnarze, profesorze nadzwyczajnym AGH, doc. Zdzisławie Szczepańskim, profesorze warszawskiego konserwatorium, muzyku Filharmonii Narodowej, Tadeuszu Pelczarze, ppłk. Józefie Stęcu i wielu, wielu innych. Stałem się poznać przynajmniej paru spośród tych ludzi, którzy swoje studia, a następnie kariery naukowe zrobili, robią już w Polsce Ludowej. Ich awans, ich powodzenie, szczeble kariery naukowej, urzędniczej, artystycznej — wszystko to jest wykładnikiem rozwoju i awansu wsi polskiej, całego kraju.

4. Odkrywcą złóż ropy oraz ordynator szpitala...

Wszystkich, rzecz prosta, nie mogiem poznać, w wypełnionym rozmaitymi zajęciami pierwszym dniu zjazdu, nie było na to sposobności. Wszelako, dzięki życzliwej pomocy sekretarza gromadzkiego Frontu Jedności Narodu, Izzydora Zydla, przeprowadziłem parę rozmów na tyle interesujących, że warto nimi zaprzętać uwagę ewentualnego Czytelnika.

Przedstawiono mi doc. Stanisława Słowika, neurologa, ordynatora jednego ze szpitali krakowskich. Docent okazał się rozmową raczej małomównym. Z jego wypowiedzi wynikało wszakże, że nie jest on jedynym wykształconym członkiem rodziny, również jego brat jest lekarzem, ordynatorem szpitala w Jaśle, a siostra nauczycielką.

W pewnym sensie przeciwnieństwem doc. Słowika okazał się jego szkolny kolega, doc. Stanisław Jucha. Przeciwnieństwem, jeżeli chodzi o skłonność do zwierzeń. Młodość miał trudną, wczesnie obumarli go rodzice, musiał przebić się o własnych siłach. A przecież nie tylko on zrobił studia, także jego młodszy brat Adam, absolwent wydziału górniczego krakowskiej AGH, obec-

nie kierownik robót górniczych w dalekiej Sardynii. Najmłodszy z braci objął gospodarstwo... Doc. Jucha jest człowiekiem ogromnie zainteresowanym sprawami nie tylko Odrzykonia, ale i całego regionu krośnieńskiego. Współpracujący blisko z tamtejszym kopalnictwem naftowym, odkrył złoża ropy naftowej pod Węglówką, obecnie prowadzi zajęcia na studium zaocznym AGH w Krośnie.

A w Odrzykoniu? Opracował bezinteresownie założenia geologiczne budowy mostu przez Wisłok, którą to pracę odrzykoniacy wykonali w ramach czynu społecznego.

Teraz na zjeździe doc. Jucha zadeklarował w imieniu 5-osobowego zespołu odrzykonińskich geologów, bezinteresownie opracowanie założeń technicznych drugiego z kolei mostu, szkoły podstawowej i wodociągów, które to przed sięwzięcia mają być realizowane w następnej pięcioletce.

5. Społecznikowskie pasje docenta...

Jednak nie tylko sprawy technicznej pomocy dla rodzinnej wsi absorbują doc. Juchę. Z wykształcenia geolog naftowy (nie bez wpływu na wybór kierunku studiów była bliskość sztywów naftowych i utrzymująca się tradycja lukasiewiczowska), jest zapalonym historykiem-amatorem. Podziwiałem doskonalą znajomość przeszłości rodzinnej wsi, jaką zademonstrował w rozmowie ze mną docent krakowskiej AGH. Z jego inicjatywy, a także innych odrzykoniaków, jak prof. Sulimowski, czy też mgr Tadeusz Nawrocki radzono na zjeździe nad sposobami opracowania i publikacji monografii wsi rodzinnej. Zrodził się również projekt organizacji małego muzeum historii i kultury materialnej Odrzykonia. Trzeba dolać półki czas, póki zupełnie nie znikną stare narzędzia, relikwii tradycyjnego stroju ludowego itp. Wszystko to, poddane odpowiedniej selekcji, mogłoby się znaleźć w odrzykonińskiej izbie pamiątek. Niepokoił się wykształceni odrzykoniacy losami średniowiecz-

nego zamczyska, które dominuje nad rozciągniętą w dolinie Wisłoka wsią. Na miejscu, w trakcie wycieczki uczestnicy zjazdu przekonali się o kiepskim stanie resztek zamkowych murów, które nie są zabezpieczone, kruszą się i rozpadają coraz bardziej. Przypomniano tu zrealizowaną uchwałę II zjazdu absolwentów z roku 1936, którzy zebrawszy wśród siebie pewną sumę pieniężną, zabezpieczyli jedną z zamkowych baszt...

Precyzując cel zjazdu, doc. Jucha mówił mi, że służyć on miał przede wszystkim zbliżeniu rozproszonej po kraju inteligencji do rodzinnej wsi, zapoznać z jej potrzebami, wciągnąć do pomocy w ich rozwiązywaniu. W jakiej mierze te ambitne założenia uda się zrealizować — trudno powiedzieć, pokaże czas...

Poznawszy bliżej doc. Stanisława Juchę dostrzegłem w jego postawie cechę, być może charakterystyczną dla części nowej inteligencji, wykształconej już w Polsce Ludowej. Tą cechą jest duma z chłopskiego pochodzenia, jest polemiczna postawa wobec nosicieli przeżytków mentalności mieszczańskiej, spoglądających z poczuciem niczym nie uzasadnionej wyższości na wieś.

— Wie pan, chciałbym w jednym pomie memu rodzinnemu środowisku — zwierzał się doc. Jucha — i chciałbym w praktyce zaprzeczyć starej, a mimo wszystkie zmiany, ciągle jeszcze żywej tradycji „pan z chłopem”. Jesteśmy synami starej, głęboko w historii zakorzenionej wsi polskiej i nie widzę żadnego powodu, aby przyoblekać się w fałszywe splendory „pańskości”!

6. Reprezentanci starej inteligencji...

Winien jestem przynajmniej parę słów o dawnej inteligencji, której przedstawiciele także przybyli na zjazd, demonstrując w ten sposób przywiązanie do ojczyznego gniazda.

Jeżeli wśród młodej inteligencji, wywodzącej się z Odrzykonia dominują, nadają ton ludzie o wykształceniu technicznym — to w okresie przedwojennym tę rolę spełniali raczej humaniści. Mgr Tadeusz Nawrocki jest historykiem z wykształcenia i jak przystało na historyka przywiózł na zjazd komunikaty o odkrytych przez siebie, nieznanych dotąd dokumentach o starej papierni, a także 17-wiecznej wyprawie chłopów odrzykonińskich po węgierskie wino... Mgr Nawrocki jest dyrektorem Korespondencyjnego Liceum dla Pracujących w Warszawie, tuż po wojnie był posłem na Sejm, a za działalność społeczną w stołecznym Komitecie Frontu Jedności Narodu odznaczony został Złotą Odznaką Warszawy... Można go uznać za reprezentanta dawnej inteligencji, która szybko poparła dokonywane się w naszym kraju przemiany i aktywnie włączyła się do ich realizacji...

7. Powojenny dorobek Odrzykonia...

Jakże to, będąc w Odrzykoniu, nie wspomnieć o wszechstronnym rozwoju tej wsi, o ogromnym kroku naprzód, jaki uczyniła w minionym ćwierćwieczu? Nie musiałem szukać na oślep, moim przewodnikiem był przewodniczący gromadzkiego komitetu FJN, Izydor Zajdel. Pan Zajdel ma wcale ciekawą biografię: jak niegdyś, kiedy po ponad 100-letniej niewoli powstawała niepodległa Polska — odrzykoniacy masowo wstępowali do wojska, tak również w 44 roku nie brakło ochotników do ludowego Wojska Polskiego. Izydor Zajdel był jednym z nich. Skierowany do szkoły oficerskiej, zdążył jeszcze, po jej ukończeniu, wziąć udział w walkach II Armii WP nad Nysą,

Na zjeździe „oświeconych



Fot. R. BILSKI



KRASICZYN 1969.

sękalów...”

Później, zwolniwszy się z woj-ska, podjął pracę w Krośnie, równocześnie angażując się w rozmaite przedsięwzięcia w rodzinnej wsi. Niewielka wystawa w domu kultury odzwierciedla drogę, którą przebył Odrzykoń. Rozpoczęła ją elektryfikacja, przeprowadzona przez samych mieszkańców w roku 1948. Następnie wzniesiono, przy niewielkiej pomocy państwa, zerwany w czasie wojny most na Wisłoku, ogromnie wsi potrzebny, zapewniający połączenie z powiatowym Krosnem. Gazowe piecyki zapłonęły w odrzykońskich domach w 1959 roku, jeszcze wcześniej rozpoczęto budowę wiejskiego domu kultury. Kontynuowana czynem społecznym i z pomocą państwa budowa ta, po wielu zgola dramatycznych perypetiach (np. zawalenie się stropu z winy przedsiębiorstwa, produkującego elementy prefabrykowane) — doprowadzona została do końca. Ale rezultat tej wieloletniej pracy uznać można bez żadnej przesady za imponujący. W obszernym gmachu znalazły pomieszczenie: poczta, ośrodek zdrowia, klub rol-nika, biura GRN, świetlica straży pożarnej, wreszcie piękna sala widowiskowa na ok. 500 miejsc wraz ze sceną i zapleczem.

Kiedy dr Stanisław Kuś, stomatolog pracujący w Ząbkowicach, powiatowym mieście na Śląsku, wybierał się do Odrzykonia, zapytywano go, gdzie też zbierze się tak duży zjazd, czy będą odpowiednie ku temu warunki?

— Zyczyłbym sobie, żeby Ząbkowice dorobiły się kiedyś takiej sali, jaką ma Odrzykoń — odparł lekarz swym zaskoczonym nie-co rozmówcom.

W Odrzykoniu myślą z kolei o następnych przedsięwzięciach, o budowie wodociągów, nowoczesnej szkoły, drugiego mostu... Nieomal z dnia na dzień wieś zmienia swój wygląd. Jadąc szosą autobusem MKS widziałem dziesiątki nowych murowanych domów, sporo rozpoczętych budów. Pan Zajdel powiedział mi, że mniej więcej 60 proc. domów wzniesiono w ostatnich latach. W tej, liczącej ponad 700 domów, wsi — znaczy to ogromnie dużo. Ale jakie są kulisy tej budowlanej prosperity? Ponad 900 mieszkańców Odrzykonia pracuje poza rolnictwem, w zakładach przemysłowych i biurach pobliskiego

Krosna. Stąd też stały dopływ gotówki, stąd powstanie sporej już grupy ludności, która utrzymuje się jedynie z pracy poza rolnictwem. Są to robotnicy, tyle, że zamieszkali na wsi. Nie używam tu terminu chłopo-robotnicy, gdyż językoznawcy utrzymują, że nieładny...

8. Na szlaku walki korpusu generała Swobody

Nie tylko do tradycji rycerskich zastępów, które obozowały przed stuleciami na zamku, a które posiłkowali mieszkańcy Odrzykonia, tworzący piechotę łanową, ludzie wolni, nie znający pańszczyzny, bo była to włość królewska — nawiązują współcześni odrzykoniaczy. Spora rolę odegrała wieś w przedostatnim roku II wojny światowej, kiedy to na kilka tygodni na pobliskich wzgórzach zatrzymał się front, a sama wieś poniosła duże straty. Stąd rozpoczęli swój marsz ku ojczyźnie żołnierze czechosłowackiego korpusu, biorącego udział wraz z Armią Radziecką w jednej z największych bitew II wojny światowej, znanej pod nazwą operacji dukielskiej.

W roku 1959 przyjechali do Odrzykonia przedstawiciele ambasady czechosłowackiej i władz powiatowych z Krosna. Owcześnie ambasador CSRS Oskar Jeleń, w czasie pamiętnych walk szef sztabu korpusu, udekorował wieś brązowym medalem dukielskim za zasługi, położone przy wyzwoleniu Czechosłowacji. Dokument, przyznający Odrzykonowi odznaczenie (które posiadają jeszcze Krosno, Dukla i Barwinek), podpisał ówczesny minister obrony narodowej, a obecny prezydent Republiki Czechosłowackiej, Ludwik Swoboda.

Od lat przyjeżdżają w te strony absolwenci czechosłowackich szkół oficerskich, aby tutaj, na miejscu krwawych zmagania swych ojców, poznawać ich trudną drogę do kraju.

9. Uwagi końcowe

Dorobił się Odrzykoń po wojnie ogromnego zastępu inteligencji, postąpił daleko naprzód w rozwoju cywilizacyjnym. Radość i dumę przebijała ze słów uczestników zjazdu, gdy przybyszowi z zewnątrz pokazywali elementy i etapy przebytej drogi. Tę drogę przebyła podkrośnieńska wieś, do niedawna jeszcze pokryta słomianymi strzechami, w latach minionego ćwierćwiecza.

Ryszard Stachnik

APEL W SPRAWIE... PEŁNI SZCZĘŚCIA

Teatry lalek — właściwie jedyną u nas pracującą dla dzieci i młodzieży — są pewnego rodzaju przedszkolami teatralnymi doznań. Rozkochani w kontaktach z Melpomeną młody widz, z pewnością nie zapomni o niej i w późniejszym wieku.

Z faktu tego wynikają — nie zawsze jeszcze doceniane — wnioski o dużych możliwościach oddziaływania tych scen, które oprócz kształtowania pojęć estetycznych, mają także olbrzymie zadania ogólnowychowawcze. Tym większa więc szkoda, iż również i w teatrach lalkowych „pięta Achillesa” jest repertuar. Sztuki ambitnie, nawiązujące do zagadnień współczesności można policzyć chyba na palcach jednej ręki. Z konieczności więc również na lalkowych scenach wszechwładnie panują ponadczasowe baśnie, których akcja śmiało może się rozgrywać na



są tego wyścigu jest Wisła i leżące u jej brzegów miasta. Perypetie scenicznych bohaterów kończą się w tym przypadku w sposób potwierdzający słowa autorki:

„Czek ma swe sposoby, rozum, doświadczenie...
Bajka ma swe czary — urok i marzenie...”.

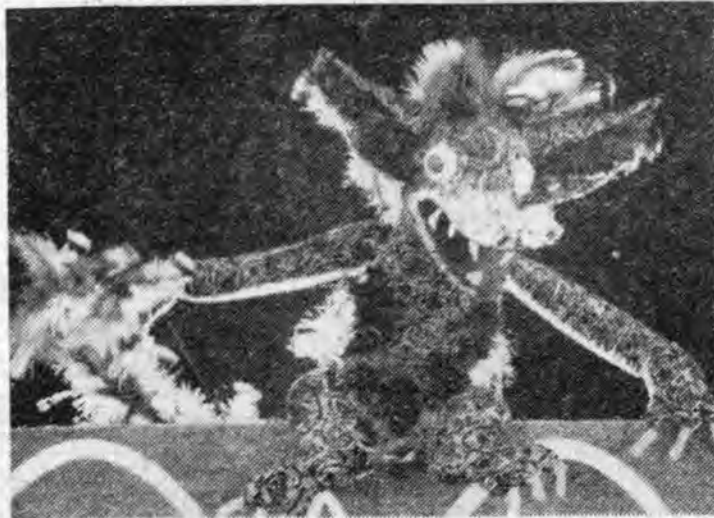
Mimo rzeczywiście wyjątkowo pechowego splotu chorób i zakulisowych komplikacji, jakie towarzyszyły próbom tego widowiska, końcowy efekt trzeba ocenić jako jeden z większych sukcesów „Kacperka” na przestrzeni kilku lat. Przede wszystkim zdecydowały o tym dwie okoliczności — znakomita scenografia (zwłaszcza lalki!), której autorem jest Ali Bunsch, a także doświadczenie i ambicja całego zespołu wykonawców (z ich gro-

wy muzycznej jest Jerzy Dobrzański). Oczywiście fragmenty choralne jak również solówki wokalne, nie są jeszcze zbyt zbliżone do ideału, ale już nie rażą i pozwalają wierzyć, że i w tym zakresie „kacperkowcy” nie „wyśpiewali” jeszcze swego ostatniego słowa!

Wprawdzie całość widowiska (reżyseria Stefana Stojakowskiego) posiada również momenty słabsze lub prowokujące do kontrowersyjnych sporów, ale w sumie zasługuje na duże uznanie. A jeśli już chodzi o kontrowersje, to osobiście zastosowałbym tu więcej skrótów tekstowych, a całości przydałoby się żywsze tempo. Nie odpowiada mi też, zbędnie chyba łamiąca konwencje lalkowego planu, żywa postać Neptuna grającego za parawanem lalkarskim. Trzeba również wypracować większą synchronizacyjną sprawność, do brze zresztą ustawionych choreograficznie przez Leokadię Magdziarz i sprawiającym dobre wrażenie lalkarskim scenom tańecznym. Należy też usprawnić jeszcze to i owo (m. in. bardzo w tym spektaklu ważne efekty świetlne), ale przecież oglądałem przedstawienie autentycznie premierowe, a więc nie tylko świeże, ale i kontynuowane w atmosferze niesprzyjającego nerwowego podniecenia. Właściwa eksploatacja tego widowiska znacznie jest dopiero we wrześniu, po urlopach; można będzie więc dopracować jeszcze szczegóły. A warto, gdyż jestem przekonany, że ta pozycja repertuarowa będzie się cieszyła dużym i zasłużonym powodzeniem!

*

Na zakończenie tych uwag warto jeszcze zaapelować do dyrektora Umińskiego, aby w swych słusznych decyzjach i zamierzeniach nie zapomniał o sprawach repertuaru, który dotychczas kształtowany był raczej na zasadzie przypadkowości. Gdyby tak obok innych dokonywanych zmian, na rzeszowskiej scenie lalkowej rozgościli współcześni nam bohaterzy i bliskie nam problemy dnia dzisiejszego (oczywiście nie na zasadzie wypierania baśniowego czaruli, wtedy można byłoby mówić (i pisać) o pełni szczęścia. Chyba warto...



jakimkolwiek kontynencie i w jakimkolwiek czasie.

W kontekście tych ogólnych refleksji, umiarkowanym optymizmem napawa fakt, iż rzeszowski Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kacperka” coraz bardziej zdecydowanie wkroczył na słuszną drogę artystycznej dojrzałości. Potwierdzeniem tego okazała się także i najnowsza premiera bajki „Flisak i Przydróżka” Hanny Januszewskiej; również ponadczasowa, ale pełna poetyckiego wdzięku opowieść o wyścigu baśniowej okruszyny i flisaka. Tra-

na szczególnie tym razem utkwili mi w pamięci: znakomita czarownica Biotniha w interpretacji Steni Górniak oraz Zyta Czechowska, Bożena Tychowicz, Emilia Umińska, Tadeusz Czwałkiel, Ryszard Szetela i Michał Walaszek. W pozostałych rolach wystąpili także z powodzeniem: B. Chmiel, B. Ciesielska, Z. Czechowski, W. Deneka i T. Wlazelek. Współautorem sukcesu z pewnością jest również Tadeusz Chachaj któremu udało się w pewnym stopniu rozśpiewać zespół (autorem interesującej opra-

Jeszcze o Pendereckim

Krytyk francuski Jacques Longchamp opisuje wrażenia z premiery hamburskiej „Diabłów z Loudun” naszego słynnego kompozytora Krzysztofa Pendereckiego. Twierdzi on, że muzyka Pendereckiego odgrywa w utworze dyskretną rolę tła dla trzydziestu obrazów wielkiego widowiska — wiernej kroniki epoki. Nie wnosi ona jednak nic nowego, w porównaniu do poprzednich dzieł tego kompozytora i przypomina arsenalem swych środków „Pasję w/g św. Łukasza” oraz „Treny”. Przedstawiona intryga, zarzuca krytyk, nie jest dość subtelna i interesująca. Najbardziej wewnętrznie zgodną i pogłębiającą psychologicznie kreację stworzył wybitny śpiewak Andrzej Hiolski, jako Urban Grandier.

Reżyseria Konrada Swinarskiego i scenografia Lidii i Jerzego Skarżyńskich zasłużyły sobie również na pochwałę francuskiego krytyka, chociaż wyraża on pogląd, że wystawienie tejże opery w Stuttgarcie jest bardziej zgodne z duchem utworu niż inscenizacja hamburska.

Warszawa w fotografice w ZSRR

W Kijowie otwarta została indywidualna wystawa prac znanego fotografa warszawskiego Edwarda Hartwiga pn. „Warszawa”. Ekspozycja obejmuje około 50 najnowszych fotografii przedstawiających nowoczesną architekturę stolicy i widoki Starego Miasta. Ekspozowane w Kijowie, a następnie w kilku innych miastach ZSRR fotografie pochodzą z przygotowywanego obecnie do druku wielkiego albumu poświęconego naszej stolicy, którego autorem jest Edward Hartwig.

„Rozkazodawstwo z natury rzeczy usposabia do prób traktowania wykonawcy jako czegoś będącego wyłącznie narzędziem, i to narzędziem jak najbardziej operatywnym, a więc i standardyzowanym, wykonawcy zaś zwykle bardzo zależy na tym, aby nie stać się wyłącznie narzędziem”.

TADEUSZ KOTARBINSKI

W ROZMOWACH PRYWATNYCH, w kręgu kolegów czy rodziny, często, nawet bardzo często mówimy o swoich przełożonych. Zazwyczaj tematowi temu poświęcamy szczególnie dużo czasu wówczas, gdy nie jesteśmy zadowoleni ze swoich szefów. Lecz kiedy jesteśmy z nich zadowoleni, a kiedy nie?

Zanim o tym słów kilka, warto poczynić pewne uwagi o charakterze ogólnym. Zdaniem naszych socjologów, kierownictwo socjalistycznym zakładem pracy powinno być nie tylko funkcją władzy, ale także, jeśli nie przede wszystkim, funkcją wiedzy i fachowych umiejętności. We współczesnym świecie, kiedy postęp nauki i techniki jest wręcz oszałamiający, anachronizmem stają się dawne metody kierowania ludźmi w procesie pracy, metody oparte wyłącznie na posłuszeństwie wobec przełożonego.

Problem właściwie nienowoczesny, różne jego aspekty od lat podnoszą nie tylko działacze społeczni, z różnego tytułu reprezentujący rzesze pracowników, lecz także przedstawiciele nauk społecznych, szczególnie socjologowie, którzy np. w USA dokonali wnikliwych studiów rozmaitych stylów i technik kierowania, wskazując na liczne zasady i reguły. Jeden z nich, R. Likert, kierownik Instytutu Badań Społecznych przy Uniwersytecie Michigan, wyróżnia cztery główne style kierowania:

— Styl opresyjno-autorytatywny oparty na przymusie odgórnym i koncentracji władzy u szczytu hierarchii zależności. Styl ten, mówiąc w skrócie, zakłada ślepe posłuszeństwo; kierownik nie żywi zaufania wobec pracowników, nie dyskutuje z nimi o sprawach służbowych, wierzy w skuteczność kar i gróźb.

— Styl patronacko-autorytatywny; pracownik jest w pełni podporządkowany przełożonemu otrzymując w zamian pewne przywileje, o które musi jednak usilnie zabiegać, nierzadko rywa-

lizując z kolegami o łaskawość zwierzchnika.

— Styl konsultatywny, polegający na obopólnym zaufaniu i lojalności; kierownik przekazuje w dół szereg swoich uprawnień, liczy się z opinią współpracowników, rezerwując dla siebie ostateczną decyzję.

— I wreszcie styl partycypacyjny, oparty na aktywizacji ogółu pracowników, wobec których kierownik ma całkowite zaufanie, w atmosferze pełnej

Zdzisław Kozioł

swobody dyskutuje z nimi o sprawach służbowych, korzysta z ich rad, dąży do tego, by podwładni czuli się współgospodarzami przedsiębiorstwa.

Wielu amerykańskich socjologów, w tym R. Likert, zdecydowanie opowiada się właśnie za stylem demokratycznym, gdyż okazuje się on najbardziej skutecznym, a skuteczność tę mierzą wydajnością pracy. Nie pretendując do zgłębienia tematu trzeba tu zwrócić uwagę na, moim zdaniem, nader istotny aspekt zagadnienia; współczesny polski socjolog, Aleksander Matejko, w koncepcji R. Likerta dostrzega pewne akcenty właściwe ideologii socjalistycznej, aczkolwiek ten amerykański socjolog nie ma z nią nic wspólnego, a na pewno nie jest zwolennikiem socjalizmu.

„Jest rzeczą godną zastanowienia — pisze Matejko — że ideologiczne rozwiązania, wywodzące się z tradycji socjalistycznej i

traktowane zwłaszcza w świecie kapitalistycznym jako utopijne, znajdują niespodziewanie potwierdzenie w rozwiązaniach społeczno-organizacyjnych podbudowanych obfitym dorobkiem studiów empirycznych. Z pewnością nie jest to przypadek. Po prostu wizja K. Marksa, dotycząca konsekwencji, do jakich nieuchronnie musi doprowadzić rozwój sił wytwórczych, potwierdza się w odniesieniu do nowoczesnej gospodarki. Tyle, że R. Likert nie może i nie chce postawić kropki nad i. Jego koncepcja (...) nie ma zaprzeczyć kapitalistycznej istocie amerykańskiego przedsiębiorstwa, lecz przeciwnie — ma ją umocnić i potwierdzić”.

przedsiębiorstwo przemysłowe spełnia funkcję nie tylko produkcyjną, lecz także społeczną. Kierowanie naszymi zakładami pracy nie sprowadza się wyłącznie do czynności administracyjnych — poza dyrektorem jest także czynnik społeczny: organizacja partyjna, związkowa i samorząd robotniczy. A więc władza ma charakter wielocłonowy. Wspomniana książka dostarcza nam wiele ciekawego materiału dotyczącego właśnie dyrektorów, mniej natomiast traktuje o wzajemnych powiązaniach między poszczególnymi członkami władzy szczebla zakładowego, choć uwagi i na ten temat wzbudzają wiele refleksji, momentami prowadzą do dyskusji.

własnego uznania określa, co jest dla nich dobre, a co złe, oni zaś powinni słuchać i być zadowolonymi. O autokracie nieudolnym lepiej nie mówić; to człowiek nieobliczalny i despotyczny, jego stosunek do pracowników zależy od chwilowego nastroju.

Kierownik demokrata, jak trafnie określają socjologowie, stara się być dyrygentem, a nie jednoosobową orkiestrą; dzieli się swymi uprawnieniami z podległym personelem, by nawet w czasie jego nieobecności zakład mógł prawidłowo funkcjonować. Takim kierownikiem bardzo zależy na oddolnej aktywności, widzą w niej czynnik mobilizujący twórcze siły załogi.

Mamy wreszcie *laissez-fairystów*, ludzi niezdolnych do sprawowania władzy, unikających decyzji, zdających się na bieg wydarzeń.

Kiedyś, na seminarium socjologicznym, prelegent pół żartem pół serio dokonał innego podziału dyrektorów. Wyszczególnił zdolnych i pracowitych, zdolnych i leniwych oraz głupich i pracowitych. Dla ambitnego pracownika, zdaniem prelegenta, najlepszym jest szef zdolny i leniwy, bo nadając kierunek, pozwala ludziom pracować. Najgorszym natomiast jest ten ostatni typ kierownika, gdyż zadaniom nie może sprostać, a w swej pracowitości gnębi i siebie, i podległych pracowników zajmując się drobiazgami, tracąc na nie czas, absorbując uwagę i energię pracowników, którzy nie mogą skoncentrować się na problemach.

Jak już nadmieniliśmy prelegent dokonał tego podziału raczej żartobliwie, żartobliwie używał też określenia „autokrata oświecony”, za jakiego uważa dyrektora stanowczego, mądrego, który umie wymagać i od siebie, i od podległych pracowników. Socjolog ten, podobnie jak i wielu innych znawców zagadnienia, opowiada się za demokratycznym stylem kierowania, lecz w określonych warunkach dopuszcza stosowanie metod autokratycznych. I tak np. J. Zieleniewski twierdzi, że styl autokratyczny „może się utrzymać dłużej bez większych szkód tylko w sytuacjach, gdy rozpiętość kwalifikacji i formatu człowieka między kierow-

(Ciąg dalszy na str. 6)

JAKIM JESTEŚ DYREKTORZE?

Opinię tę wyraził A. Matejko w wydanej pod swoją redakcją książce pt. „Socjologia kierownictwa” (PWE, Warszawa 1969), zawierającej zbiór studiów i rozpraw, których autorzy uwzględnili zarówno pozytywne osiągnięcia socjologów zachodnich, jak i dorobek polskiej socjologii. Książka niezwykle ciekawa, momentami wręcz pasjonująca.

Jej autorzy w dużej mierze podjęli trud pionierski, gdyż studia w zakresie socjologii kierownictwa są u nas opóźnione, choć mają one kapitalne znaczenie praktyczne. Rozwój rodzimej socjologii kierownictwa — podkreśla A. Matejko — jest potrzebny i daciego, by nie znaleźć się pod naciskiem obcych poglądów, zwłaszcza socjologów amerykańskich; realne jest bowiem niebezpieczeństwo mechanicznego, zbyt pochopnego przenoszenia ustaleń badaczy zachodnich na polski, a więc socjalistyczny grunt. Przecież socjalistyczne

Czytając tę książkę jakoś bezwiednie odnotowywałem nazwiska znanych mi dyrektorów, mogących być żywą ilustracją słuszości twierdzeń zawartych w „Socjologii kierownictwa”. Lecz nie o jednostkowe przykłady tu chodzi; ważne są pewne prawidłowości — okazuje się, że można mówić o wspólnych cechach naszych szefów.

Wśród polskich dyrektorów socjologowie wyróżniają trzy grupy. Mamy więc autokratów, wydających rozkazy, które należy posłusznie wykonać, według własnego uznania nagradzają i karzą, nikogo nie pytają o zdanie. Ta grupa kierowników dzieli się na surowych, życzliwych i nieudolnych. Autokrata surowy usiłuje decydować samodzielnie, z nikim nie dzieli się swymi uprawnieniami, jest wprawdzie apodyktyczny, ale sprawiedliwy. Autokrata życzliwy troszczy się o pracowników, jednak według

JAN BOLESŁAW OZÓB

POMOC DOKŁADNIK

25
LAT
TEMU

Było to, pamiętam, 1 sierpnia 1944 r. W ten dzień akowscy plutony „Boryny” (Rządckiego) znalazły się w lasach pod Porębami Kupieńskimi (na wschód od Kolbuszowej) i stoczyły tu w południe jedną z największych swoich bitew.

Od rana ze strony Bratkowic przedzierały się przez lasy oddziały piechoty hitlerowskiej kierując się ku Widelce, którą oparowały już wojska radzieckie. W tę stronę bila bez przerwy z zachodu, zza Kolbuszowej, artyleria niemiecka, stad szły także od nocy niemieckie czołgi.

Oddziały „Boryny”, biwakujące koło leśniczówki, otrzymywały co chwilę meldunki od tajnych gońców o posuwaniu się Niemców. O leśniczówkę otarło się także dwóch konnych zwiadowców radzieckich w brązowych mundurach, z partyzanckich, jak się później okazało, oddziałów, z których jeden dostał już postrzał w nogę, Niemcy strzelali ustawicznie przed siebie sunąc ciężko po leśnych drogach.

„Boryna” przegrupował oddziały odsyłając niektóre z nich, np. towarzyszącą im drużynę BCh, do tyłu i przygotował zasadkę. Pluton por. „Sulimy” odmaszerował za leśniczówkę i otrzymał zadanie zaatakowania zbliżającego się nieprzyjaciela z

lewej strony, a sam „Boryna” udał się z plutonem por. „Agawy” (Cieślaka) za las, w kierunku wschodnim na grunt zarosły częściowo młodniakiem i pocięty na łące rowami melioracyjnymi, które odgierały znakomicie rolę okopów. Wykorzystując naturalną ochronę przystąpił się tu ze zdobytym (przed kilkoma dniami) działkiem i trzema karabinami maszynowymi u wylotu leśnej drogi.

Chłopcy z drużyn „Agawy” (z Sokolowa i Nienadówki) zostali poprzedniego dnia ostrzelani na polach Poręb Kupieńskich przez niemiecki czołg, na skutek czego trzech rannych (Naziraka, Ożoga i Śliża) odesłać musiano do polowego szpitala w Kolbuszowej, toteż teraz, rzadni odwetu, palili się do walki. Okazja się zbliżała, napięcie rosło, pot spływał po czołach, raz, że słońce prażyło zaczęło dotkliwie, po wtóre — ze zniecierpliwienia.

Nareszcie pierwsze szeregi niemieckie przeszły koło leśniczówki. Pluton „Sulimy” rozpoczął atak z flanki. Wkrótce pokazała się też u wylotu drogi niemiecka kolumna na koniach. „Boryna” rzucił plutonowi „Agawy” hasło do rozpoczęcia ognia. Zagrały z trzech pozycji karabiny maszynowe — przy jednym z nich leżał znakomity strzelec „Kloc” (Buczak z Nienadówki),

a „Agawa” zajął sam osobiście miejsce przy działku bijąc raz po raz ogniem na wprost.

Nie trwało to dłużej niż pięć minut, pamiętam dobrze, ponieważ brałem czynny udział w utarczce przy boku „Boryny” (jako tzw. oficer oświatowy).

Na rozkaz „Boryny” odskoczyliśmy potem na wschód kryjąc głowy przed kulami w leśnych i łąkowych rowach, i tak pluton „Agawy” osiągnął pierwsze domy Poręb Kupieńskich. Pluton „Sulimy” odmaszerował, o ile pamiętam, lasami w stronę Zenbrzy. Niemcy wycofali się w lasy, w kierunku Bratkowic.

ła Kopcia — znam. Pochodzi z Majdanu. Wśród ognia artylerii niemieckiej, która ostrzeliwała szosę wiodącą z Kolbuszowej i Widelkę, konwojowałem rannego zaraz po bitwie przez pola Widelki do najbliższego punktu sanitarnego, a ten posiadały wojska radzieckie, z którymi „Boryna” nawiązał już pewne kontakty.

Gdzie znajdowali się Sowiety? Trzeba było ich dopiero poszukać w terenie zupełnie mi nieznanym. Zadanie, które powierzył mi „Boryna”, nie należało do łatwych.



Jaki był wynik walki? Jak wynika z meldunków, które nadeszły na drugi dzień spod leśniczówki, Niemców padło 72. Byli także ranni, ale ci uszli. Były zabite konie i roztrąskane jakieś wozy. Z naszej strony obeszło się bez większych ofiar. Został zabity tylko jeden żołnierz („Zbik” — Jan Skowroński z Kolbuszowej Dolnej), a dwu (z plutonu „Sulimy”) otrzymało ciężkie rany (Kubala i Kopeć). Jednego z rannych — Micha-

kość lewego ramienia, prowizoryczny polowy opatrunek sanitariusza nie mógł przeszkodzić upływowi krwi, trzeba się było śpieszyć, więc furman idący z mną z boku podciął mocno konia batem, gdy cignał pod górę.

W pierwszych domach Widelki poinformowali mnie chłopcy, że sztab radziecki ulokował się prawdopodobnie na plebanii. Postanowiłem się tam skierować. Choć do centrum wsi i kościoła było jeszcze bardzo daleko, a koń nie chciał iść pod czołgi radzieckie, które ciągnęły pełnym gazem z naprzeciwka ku Kolbuszowej, to jednak dotarliśmy szczęśliwie do celu.

Wokół kościoła rozstawione były działa sowieckie i — miałem szczęście — tu, na wzgórzu, na obejściu plebanii, odnalazłem uroczą sanitariuszkę, która po zmianie opatrunku i posileniu rannego winem, i ciastkami odesłała go natychmiast na rozkaz pułkownika — nazywał się Czerniszewski, pamiętam go doskonale — samochodem do szpitala wojskowego w zdobytym już, pobliskim Głogowie.

Wysłałem wkrótce list do rodziny Kopcia, ale czy doszedł, nie wiem. Uplynęło sporo czasu, nim ukonstytuowały się władze polskie i polska poczta.

W r. 1965 wysłała mnie Miejska Biblioteka w Rzeszowie do Majdanu na wieczór autorski. Opowiadając tam o przeżyciach partyzanckich wspominałem nazwisko Michała Kopcia. Pamiętają w Majdanu o dzielnym żołnierzu. „Wylizał się”, powiedział mi, z ran. Kopeć pokazuje czasem na ramieniu srebrny brzeg okucia od kości. Pracuje w zakładach metalowych w Dębce.

Pomoc żołnierz radzieckich nie zawiodła. Uratowała życie polskiemu partyzantowi.

Ryszard Dzieszynski

BIAŁA DAMA Z WERYNI

Podróżując po kraju napotykać co krok jakieś stare zamczysko, pałac czy chociażby staroszlachecki dworek. Oczywiście nie ma w nim już dawnych właścicieli. Zabytek albo leży w gruzach, albo mieści się w nim muzeum lub szkoła. Ale dawni właściciele, choć od wieków przebywają poza ziemskim padolem, to jednak pozostają w swym przybytku duchem. Snują się smętnie w beksiężycowe noce po krągankach, salach balowych lub basztach, spędzając sen z powiek przykładowym i skądinąd trzeźwo myślącym obywatelom naszej laickiej ojczyzny. Wszędzie roi się od tych zjaw pozaziemskich, i okazuje się, że mają ostatnio duże wzięcie. Telewizja zaangażowała nawet znanego aktora Kazimierza Rudzkiego, aby wysłuchiwał ich zwierzeń, co czyni co jakiś czas przed oczami milionów widzów, z dużym zainteresowaniem i nader cierpliwie.

Chcąc go nieco odciążyć w tym nawaie pracy, zajęłam się sprawami duchow egzystujących w swym życiu pozagrobowym w widłach Wisty i Sanu. Rychło jednak zdażo mi się studiowanie ich dzieł, wszystkie bowiem były do siebie bizniasco podobne i można było ująć je w schematy. Ale sprawa Białej Damy z Weryni zainteresowała mnie szczególnie, a to z tego powodu, że nawiedza ona budynek zbudowany w 90 lat po swej śmierci. Wypadek rzeczywiście nietypowy. Duchy nie lubią bowiem nowego budownictwa.

Biała Dama z Weryni — Lucja Franciszka hr. Tyszkiewiczowa urodziła się w 1770 r. w Budzie, nad „pięknym modrym Dunajem”. Jej ojcem był ks. Jerzy Marcin Lubomirski, pan rozległych włości, najbogatszy magnat Małopolski, a matką — Anna Maria Bałkówna, córka austriackiego generała, ulubiona dworka Marii Teresy. Poznanie obojga nastąpiło w okolicznościach zgoła niezwykłych. Lubomirski, były generał pruski i austriacki, nieposkromiony hulaka i poszukiwacz przygody, gwałtownie i czasowo w Europie poł bitewnych, zaczął awanturować się w rodzinnym kraju z bandą opryszków, przy okazji popełniając morderstwo. Ujęty i skazany na śmierć, został wskutek staran rodziny, jako były generał Marii Teresy, przekazany wiadom cesarskim i osadzony w więzieniu w Munkacu na Węgrzech, gdzie miał siedzieć, do końca życia. Pięć lat później, w więzieniu tym powodziło mu się niezłe: miał osobistego lekarza, kucharza i służącego, a nawet profesora architektury wojskowej, a z obojgami zaogrywał w karty. Następnie przeniesiono go do twierdzy w Budzie, której komendantem był gen. Andrzej Hadik. Jeden z najwybitniejszych wodzów monarchii habsburskiej, wywodził się z rodu, który jako jeden z pierwszych zaczął w XVI wieku krzewić naukę Lutra w Czechach i na Słowaczkach. Katolicy Habsburgowie uważali to za ogromny nieakt, ale przez jakiś czas tolerowali działalność Hadików, wreszcie zniecierpliwieni postępowaniem Reformacji, wydali ich z granic swej monarchii. Jan Hadik przesiadł się przeto do Holandii, gdzie pisał rozprawę o wolności sumienia. Ale jego wnuk Andrzej Hadik myślał trzeźwo. Należało odrobić straty, jakie poniósł ród wskutek mrzonek niektórych jego przedstawicieli i na nowo zyskać łaskę cesarską. Andrzej wstąpił przeto do walecznej armii austriackiej. Służył pod rozkazami ks. Eugeniusza Sabaudzkiego, szybko awansował i wyróżniał się zdolnościami strategicznymi. W czasie wojny siedmioletniej, w dniu imienia cesarzowej Marii Teresy w 1757 r. Hadik na czele swej dywizji opanował Berlin, za co został mianowany generałem kawalerii i otrzymał order Marii Teresy. Od tej pory był zawsze mile widziany na jej dworze. W 1762 roku został gubernatorem Siedmiogrodu. W tym samym roku Lubomirski poznał jego córkę na przechadźce w parku otaczającym zamek w Budzie.

Anna Maria była piękną blondynką, o drobnej twarzy i szafirowych oczach. Miała wówczas 18 lat, ale była niezmiernie ocytana i wykształcona. Jedynaczką — oczko w głowie państwa Hadików. Ciekawostką stanowi fakt, że Anna Maria była spokrewniona z Poniatowskimi poprzez matkę, którą łączyły węzły krwi z Herułą Teresą Kinską, matką księcia Józefa.

Dwa lata romansował ks. Marcin z Anną Marią. W tym czasie przyszli teściowie nie zasypiali gruszek w popiele. Wyczuli, że dla ukochanej jedynaczki krąi się świetna partia, a skoro Lubomirski jest w ich rękach, łatwo będzie można zaprowadzić go do ołtarza. I tak też się stało. Wyjednali zwolnienie księcia z więzienia. Przedtem jednak podpisał układ ślubny, zapisując przyszłej żonie 15 tys. złotych reńskich rocznego dochodu, wraz z dożywociem, następnie 1/3 majątku, oraz odpowiednią kwotę na utrzymanie przyszłego dziecka. A to wszystko na wypadek, gdyby zachciało mu się... rozvodu.

W 1765 r. narzeczeni wzięli ślub w Hermanstadt w Siedmiogrodzie, po czym ruszyli do Polski. Zamieszkali w Kolbuszowej, gdzie przez pewien czas książe stał się dobroczyńcą całej okolicy, zatwierdzając prawa miejskie, poczynając szereg fundacji, oraz fundując nową wieś w lasach Puszczy Sandomierskiej, nazwaną na cześć Anny Marii, która urodziła w 1770 r. Lucję Franciszkę — Hadykówką.

W 1772 r. do południowej Małopolski wkroczyły wojska austriackie, aby położyć kres wszelkim zamieszkom i co nieco okroić Rzeczpospolitą, pod pozorem rewindykacji miast spiskich. Wiódł je teść Lubomirskiego, generał Andrzej Hadik, niedawno wzbogacony majątkami Czerniowce i Futak, leżącymi na Węgrzech. Sławny wódz zawsze wiedział najlepiej, co w trawie piszczy i umiał w odpowiedniej chwili wyciągnąć rękę po dobrą doczesność. Hadik został pierwszym gubernatorem Galicji i zaraz podjął starania o rehabilitację zięcia na dworze Stanisława Augusta. Wyjednął mu amnestię i nawet pomógł wybić się w życiu politycznym. Na żądania posła Austrii, Lubomirski został członkiem komisji wytyczającej w 1773 r. granicę polsko-austriacką, a także później — członkiem Rady Nieustającej. Tymczasem teść znużony rozlicznymi zajęciami administracyjnymi, złożył dymisję ze stanowiska gubernatora. Otrzymał stanowisko bardziej odpowiadające jego zainteresowaniom: został przewodniczącym Rady Wojskowej. W ślad za tym przyszła nominacja na feldmarszałka. Hadik był syty szczęścia, zwłaszcza że w 1777 r. otrzymał tytuł hrabiowski, co pozwoliło mu w pewnej mierze na wyrównanie kompleksu wobec utytułowanego zięcia, oraz nie mniej utytułowanej małżonki.

Ale w tym czasie nad szczęściem rodzinnym Lubomirskich zawisły ciężkie chmury. Książę Marcin poznał — Honoratę Stempkowską, córkę obożnego Stempkowskiego, pogromcy Humanitaryzmu. Lubomirski wziął rozwód z Anną Marią i ożenił się z Honoratką. Hadykówna dostała na otarcie łez, to co jej przysiękł w układzie ślubnym: Kolbuszowę wraz z okolicznymi dobrami i wymienione sumy. Hadykówna, która — jak twierdzą złośliwie — miała być kochanką Stanisława Augusta (wiadomo, że szczególnie lubował się w swych kuzyneczkach), spakowała manatki i wyjechała do Kolbuszowej, gdzie mieszkała przykładownie z dorastającą córeczką Lucją Franciszką. A Lubomirski hulał w Warszawie, jak przystało, po magnacku, rzucając ogromne sumy, dosłownie niemal w błoto.

Lucja Franciszka wychowywała się przy boku matki. Miała francuskich nauczycieli i czytała francuskie dzieła. Dość powiedzieć, że w kolbuszowskim dworze znajdował się cały komplet Encyklopedii. Gdy miała 18 lat, Anna Maria zabrała ją ze sobą w podróż do Francji. Obie panie złożyły wizytę Ludwikowi XVI w Wersalu. Nie przewidywały chyba, że ich dostojny gospodarz już wkrótce przeżyje upadek Bastylii, a następnie powędruje na szafot. W Paryżu panie Lubomirskie mieszkały w Hotelu Serpente, a zaraz wkrótce potem wróciły do Polski. Matkę ciągnęło do króla Stasia, a Lucję Franciszkę? Ta musiała czekać na swego adoratora jeszcze 3 lata. W 1791 r. na Sejm zwany później Czteroletnim przybył poseł ze Zmudzi Jerzy Tyszkiewicz. Potomek starożytnego rodu wywodzącego się od Tymoteusza Miszkiewicza, zwanego Tyszką, żyjącego w początkach XV wieku, rodu, który wydał wielu senatorów, biskupów i rycerzy, przystojny Lil-twin zdobył serce kolbuszowskiej panny. Wkrótce pobrali się, a okoliczność ta okazała się wyjąt-

kowo zbawienna. Tyszkiewicz brał bowiem udział w powstaniu 1794 r. Jerzy był nawet członkiem wileńskiego rządu powstańczego. Po upadku Insurekcji dobra ich skonfiskowano. Kolbuszowski posag Lucji okazał się doskonałym azylem. Zresztą nie tylko dla Tyszkiewiczów. Podobno w Starym Dworze, w Kolbuszowej ukrywali się przez pewien czas również Hugo Kollataj oraz Kazimierz Konopka, warszawski jakobin.

Jerzy Tyszkiewicz nie poszedł w ślady teścia. Był gospodarnym, pracowitym, zapobiegliwym i oszczędnym włodarzem swych włości, a nadto dobrym i czułym mężem. Miał z Lucją siedmioro dzieci.

Od 1790 r. nie żył już dziadek Lucji, marszałek polny, Andrzej hr. Hadik. Mianowany w 1789 r. wodzem naczelnym armii mającej wyruszyć na Turków, już przygotowujący wymarsz na Belgrad, gdy nagle zachorował, a potem złożył dymisję. Zostawił po sobie pamiętniki. Miał jeszcze syna Karola Józefa, który urodził się 12 lat po Annie Marii i wybrał karierę wojskową. Walczył z powodzeniem z Francuzami, za co otrzymał order Marii Teresy, aż wreszcie zwał przed nimi pod Valmy. Mianowano go potem wicemarszałkiem i wysłano do Italii. Tam zmarł z ran podczas forsowania rzeki Bormidy w 1800 r. W kilka lat później zmarła Anna Maria. Tyszkiewiczowie żyli sobie spokojnie w cieniu wielkich wydarzeń. Jedynie Tadeusz, brat Jerzego, pociągnął za orłami napoleońskimi i dosłużył się w wojsku rangi generała. Ale, po 20 latach pożycia małżeńskiego zdarzyła się tragedia, która wstrząsnęła całą okolicą. Szesnaoletni syn Jerzego, Wincenty, manipulując strzelbą, zastrzelił przypadkowo swoją matkę 41-letnią Lucję Franciszkę.

Do tej pory stoi w Weryni neogotycka kapliczka, która upamiętnia to zdarzenie. Jedna wersja podaje, że stało się to w Starym Dworze, w Kolbuszowej, w oknie frontowym, od strony szosy tarnobrzkiej. Druga wersja mówi, że wypadek miał miejsce w Weryni. Stał tam przedtem dwór modrzewiowy. W 1846 r. miała się przed nim odbywać rozprawa sądowa prowadzona przez Jakuba Szele, przeciwko Tyszkiewiczom. Jeszcze dziś w Weryni stoi stara karczma, przed którą zasiadł na fotelu z pałacu chłopski wódz, aby sędzić panów. Potem dwór rozebrano, a obok zaczęto budować nowy, secesyjny. Projektował go znany architekt Karol Stryjeński. Budowę zakończono w 1900 r. Pierwszym lokatorem pałacu stała się... Biała Dama.

Starzy mieszkańcy Kolbuszowej opowiadają, że Biała Dama pokazywała się zazwyczaj wtedy, gdy członkom rodu Tyszkiewiczów groziła śmierć. Ostatnio ukazała się w 1944 r. na balkonie wewnętrznym w sali bawialnej pałacu Jerzemu Tyszkiewiczowi, majorowi AK, zaangażowanemu m. in. w akcji badania tajemnicy wyrzutni V1 i V2 w Bliźnie, który rzeczywiście wkrótce zmarł.

Ale Biała Dama ukazywała się również w samej Kolbuszowej, na łacie zwanej Morze Czerwone i to oczom zwykłych śmiertelników. Miał ją widzieć podobno kilkadziesiąt lat temu p. Władysław Skowroński, kiedy, jako mały chłopiec wybrał się tam wraz z kolegą, aby naciąć gałęzi dla ozdobienia domu na Zielone Święta. Obaj ujrzeni Białą Damę, siedzącą na szczycie starej lipy i grającą na skrzypcach. Gra na skrzypcach — była to poniekąd specjalność rodu Tyszkiewiczów. Syn Wincentego, mimowolnego zabójcy matki, Janusz grał na skrzypcach przed samym Ryszardem Wagnerem, który nie miał dość słów uznania dla niego. Otóż kolega p. Skowrońskiego wdrapał się na drzewo i chciał dotknąć zjawę. W tym momencie zleciał na dół, łamiąc ręce i nogi. Tak zakończyła się niefortunnie próba namacalnego zbadania, jak ma się rzecz z duchami.

Gdy zapytałem o wyjaśnienie eksperta — fizyka, ten odparł, że niektóre drzewa „świecą”, wydając z siebie blask w kształcie słu-pa, podobny do widma. A chłopak — mógł się po prostu pośliznąć i stracić równowagę. Mogła go też uderzyć gałąź, a on myślał zasugerowany powieściami, że to reka Białej Damy.

Jakkolwiek było — Biała Dama ostatnio nie zjawia się ani w Weryni, ani w Kolbuszowej. Widocznie nie odpowiada jej nasza rzeczywistość. I słusznie: nie ma w niej bowiem miejsca dla duchów, jest tylko miejsce dla żywych, realnych ludzi. W pałacu, którego był pierwszym lokatorem, mieści się obecnie internet Technikum Rolniczego. Stąd corocznie wychodzą dziesiątki wychowanków, którzy potem idą do pracy, lub na studia wyższe. Towarzyszy im romantyczna legenda. Ale to też dobrze: młodzi lubią posłuchać, jak to „drzewiej” bywało.

Franciszek Ceglak

POWALE

dopowiedzieć Ci ulic pełną okna
krajobraz nagły I nieustannie przed progiem
wóz

ręce otwarte
w cieniu mojego domu
w perspektywie tła

między kominem a

osiągalnością

refleksy znaczeń — kruchy obłok gołębi
powtórzmy kluczenie idących kamieni
ich obietnice

na przekór otwarte

okrągłość ostu

jest dojściem do obrazu spokojnych sekund
lampką

wierzba bez miejsca na słowo

przede mną już tylko długie dzwony
przedmieścia

dzień się wytapia

gwarną łuską ryby

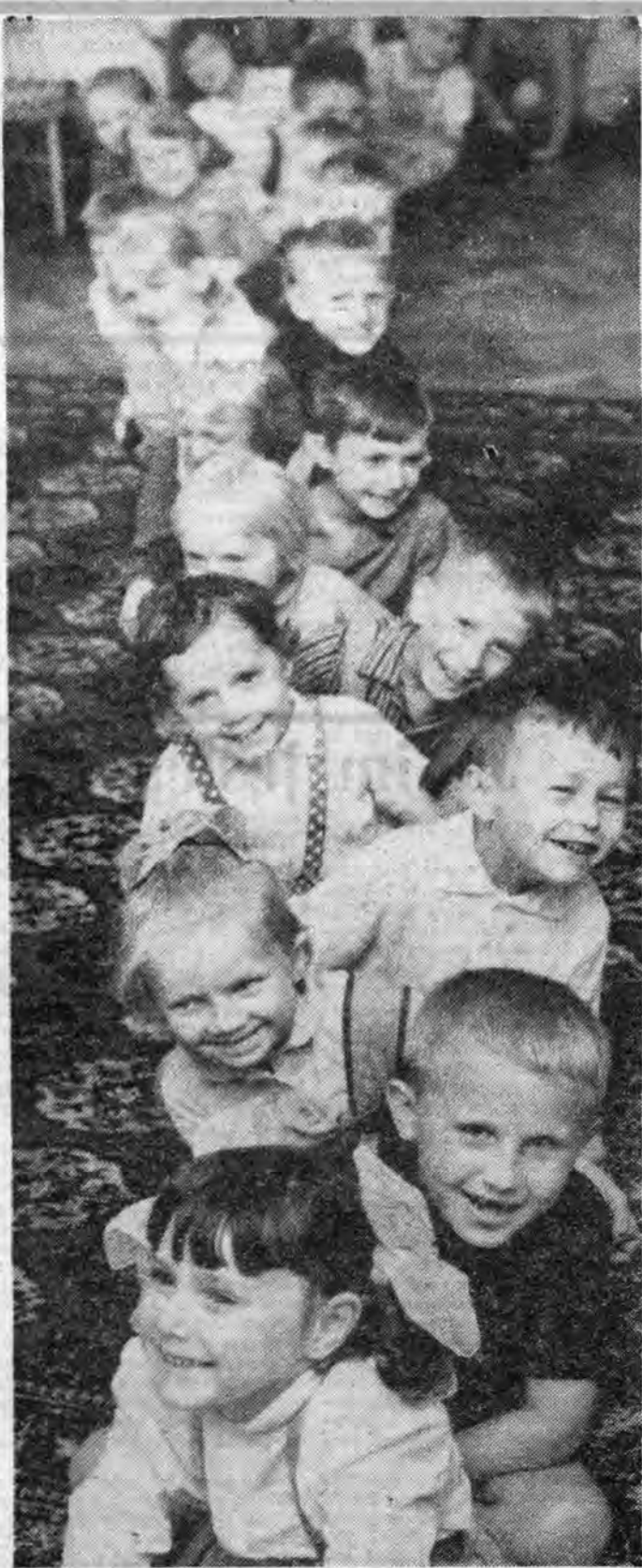
a w okiennicy

opatrzonej sercem

ploną niezmiennie

gałąź i kolor

Powale — nazwa części miasta Sieniawy



Przedszkolaki

CAF — fot. A. ŁOKAJ



Moje pokolenie starzeje się, a tu świat zmusza nas do zadumy nad coraz nowymi problemami etyki, moralności, prawa. Trzeba mieć głowę jak koło młyńskie, by dzisiaj odróżnić co białe a co czarne. Filozofowie, prawnicy, lekarze, politycy i ludzie pióra, i w ogóle ludzie myślący, od miesięcy dyskutują na przykład, nad problemem przeszczepienia serca. Bo przecież wiadomo, że to przeszczepione serce, to serce żywe. Przeróżający problem do rozstrzygnięcia miał ten lekarz, który dokonał pierwszej operacji. Drugiemu było łatwiej, bo już miał za sobą precedens swego kolegi. Rzecz niebagatelna — co wolno, a czego nie wolno. Ale oto technika przychodzi z pomocą i dopomaga znaleźć wyjście: okazuje się, że wkrótce zaczniemy produkować serca ze sztucznego tworzywa i każdy przeczorny człowiek będzie mógł kupić sobie serce na zapas.

Ale na razie — na razie boli mnie głowa, i piję kawę. Po kawie przestaje boleć głowa, a zaczyna boleć serce. Zażywam więc tabletkę — po tabletkę przestaje boleć serce i znowu zaczyna boleć głowa.

Wertuję więc tygodniki —

— chcę się dowiedzieć, czy można już przeszczepić głowę. Czyją głowę chciałbym mieć? Może głowę jednego znajomego recenzenta, który jest mądry w kategoriach absolutnych i zawsze wie co jest dobre, a co złe. A może głowę jakiegoś abstynenta? Ale gdzie u nas są abstynenci?

Sięgam do tygodników zagranicznych — o przeszczepieniu głowy ani słowa. Za to jest w tych zagranicznych pismach dużo obnażonych kobiet. Zachodnioeuropejscy producenci filmowi coraz częściej posługują się aktem kobiecym, może nie tyle ze względu na sam problem jako taki, ile po to, by zwać widza do kina. No cóż, jako człowiek biedny, zawsze twierdziłem, że nagość nie hanbi.

Reklamowa funkcja aktu w filmie jest dość skuteczna. Znam jednego przemysłowca staruszka, który bardzo lubi takie filmy. Kiedy na ekranie pojawia się nagość, starszy pan zamyka oczy i śpi do końca seansu. Nie jest to zbyt przyjemne, bo staruszek chrząka tak donośnie, jakby był sam jeden na widowni. A przecież inni także chcą się zdrzemnąć.

POLSKIE FILMY NA MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU FILMOWYM W MOSKWIE

Jak już podawaliśmy — na VI Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie kinematografia polska zaprezentuje w konkursie film reż. Jerzego Hoffmana „Pan Wołodyjowski”. Jak informuje „Film Polski” — w sekcji informacyjnej festiwalu przedstawimy ponadto 3 filmy fabularne: „Kierunek Berlin” Jerzego Passendorfera, „Lalkę” Wojciecha Hasa i „Hrabinę Cosel” Jerzego Antczaka.

WIESŁAW OCHMAN SPIEWA „DON JUANA” MOZARTA W ANGLII

Kierownictwo opery w Glydenbourne zaprosiło solistę Teatru Wielkiego w Warszawie Wiesława Ochmana na 15 występów w „Don Juanie” Mozarta. Artysta będzie gościł w Anglii do połowy sierpnia br.

Jakim jesteś dyrektorze?

(Ciąg dalszy ze str. 4)

nikiem a podwładnym jest bardzo duża”. (Pisałem już, że zdaniem amerykańskich badaczy metody demokratyczne sprzyjają wydajniejszej pracy; tezę tę udowodnił bogatym materiałem empirycznym, wynikami badań, które przeprowadzono — i ta uwaga jest nader istotna — w zakładach o ustabilizowanej zarobkowej, odznaczającej się wysokimi walorami fachowymi).

Kontynuując tę myśl, trzeba z całą stanowczością podkreślić, że w Polsce kwalifikacje pracowników nieustannie wzrastają, co wraz z postępem nauki i techniki wymaga zmian stylu kierowania. Wykształcony, merytorycznie kompetentny pracownik, to nie tylko wykonawca, ale w dużej mierze także twórca, jego zaś sukcesy czy niepowodzenia w pewnym stopniu, często nawet znacznym, uzależnione są od postawy współpracowników. W tych właśnie warunkach anarchizm stają się dawne metody kierowania, oparte wyłącznie na posłuszeństwie wobec szefa.

Po tej dygresji kilka szczegółów o naszych dyrektorach. Zaczynamy od tego, jak oni pracują. Z badań wynika, że polski dyrektor nie ogranicza się do 8-godzinnego dnia pracy, bywa z reguły zmęczony, nieustannie się

spiesz, co wytwarza wokół niego atmosferę zdenerwowania. Ale jakże ma się nie spieszyć, skoro musi wykonać mnóstwo czynności urzędowych, sporo czasu, nawet do 20 proc., poświęca na rozmowy z pracownikami, a do tego zebrania, narady i konferencje. Przeprowadzone w Polsce badania wykazały, że pewni dyrektorzy 67 proc. swego czasu przeznaczają właśnie na konferencje. W jednym z przedsiębiorstw dokonano obserwacji czasu pracy 20 pracowników kierowniczych; około 270 minut tygodniowo zajęły im narady produkcyjne, drugie tyle konferencje społeczne, na dokształcanie zaś zdołali wygospodarzyć zaledwie 51 minut tygodniowo. Jeszcze gorzej jest w administracji; personel kierowniczy w przedsiębiorstwach narodowych przebywa na naradach średnio 3,5 godz. dziennie.

Nasi szefowie sporo czasu poświęcają na narady i w zakładach, i poza nimi. Socjologowie mówią więc, że w jakimś stopniu są oni działaczami społecznymi, lecz nie wypowiadają się na temat efektywności ich pracy społecznej.

Socjologowie twierdzą, że dominuje u nas styl autorytatywno-kolegialny. Autorytatywny, bo kierownik rezerwuje dla siebie ostateczną decyzję, nawet często w sprawach drobnych (zresztą zmuszają go do tego także prze-

pisy, np. w bankach 450 przepisów określa, co musi dyrektor osobiście załatwiać), kolegialny, bo w budżecie czasu naszych szefów zebrania zajmują poczesne miejsce. Czy na tych zebraniach rzeczywiście zapadają kolegiałne decyzje? Różnie to bywa, nierazko tzw. decyzja kolegiałna stanowi dogodną alibi dla kierownika, który chętnie przerzuca na innych część odpowiedzialności, nie dzieląc się swymi uprawnieniami.

„Socjologia kierowania” dostarcza sporo ciekawego materiału, potwierdzającego tezę, że wielu jest jeszcze autokratów kolegiałnych; autorzy tej książki, a na szczególną uwagę zasługują rozprawy A. Matejki i W. Kieżuna, podają mnóstwo przykładów, zwracając uwagę na prawno-społeczne uwarunkowanie tego zjawiska, piszą też o próbach odejścia od takich metod kierowania. I takie próby są podejmowane, gdyż wśród kadr kierowniczych narasta świadomość, że w obecnych warunkach tradycyjne metody są zawodne, mało skuteczne. Książka ta rzeczywiście budzi wiele refleksji, jest potwierdzeniem praktycznej użyteczności nauk społecznych. Warto więc, by trafiła do rąk kierowników, warto, by zapoznali się z nią działacze społeczni.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

W oddziale „Kefiru”

Po 20 lipca 1944 r., nie pamiętam już dokładnie którego dnia, otrzymałem rozkaz zgłoszenia się do oddziału dywersyjnego, celem wzięcia udziału w akcji bezpośredniej. Dowództwu chodziło o wszczęcie działalności przeciw uciekającym Niemcom, jak również o pomoc zbliżającym się oddziałom wojsk radzieckich — na terenach zajętych jeszcze przez okupanta*).

Julek R. przyszedł do mnie do domu, powiadomił, że mam się stawić w Weryni u takiego to a takiego członka organizacji, dał hasło wywoławczo-rozpoznawcze, życzył szczęścia w „wojaczce” i odszedł.

Pozbierałem najpotrzebniejsze drobiazgi, zapakowałem w pożyczoną torbę — plecak, pożegnałem się z obecnymi w domu siostrami, ojca pocałowałem w rękę (taki był u nas w domu zwyczaj) i powiedziałem Mu, że idę „do lasu”.

W pierwszej chwili zaskoczyło go to, ale nie zabronił mi odejścia, westchnął i kazał iść z Bogiem. Dopiero później dowiedziałem się jak boleśnie przeżywał moją nieobecność, jak się bał o mnie.

Połami, bocznymi drogami, bo szosą cofali się Niemcy, udałem się do Weryni. Moim adresem okazał się młody, 22—24-letni chłopak, pseudonim „Swit”. Podaliśmy mu swoje pseudo i hasło. Kazał mi zacząć na polu, mówiąc że pozatapia kilka spraw, pójdzie po broń i wkrótce wróci. To „wkrótce” trwało dobrych parę godzin. Czas ten skracałem sobie oglądaniem mojego (pierwszego w życiu!) uzbrojenia w postaci 5-strzałowego karabinka i granatu, które przyniósł mi w międzyczasie.

Dobrze po północy dotarliśmy na punkt zborny w lasu, za wsią. Zebrało się nas 25—30 ludzi, w różnym wieku, o przeróżnym „umundurowaniu” i uzbrojeniu. Były 2 pistolety maszynowe typu „bergman”, 1 pepesza, kilka stenów, najwięcej zaś karabinków i granaty. „Szarża” miała prócz tego jeszcze rewolwer. Jedyne dowódca miał pełne, wojskowe umundurowanie, przechowane widocznie od września, kilku miało bluzy wojskowe, reszta — „szara brać partyzancka” — była po cywilnemu.

Po odprawie i określeniu zadań wymaszerowaliśmy w kierunku Kupna. Kończyła się noc, zaczy-

nało świtać. Zaśpiewaliśmy jąjącą piosenkę. Poranne echo niosło jej słowa daleko, na całą okolicę.

W czasie marszu — strzał. To porucznik zrobił próbę zachowania się podwładnych na wypadek zaskoczenia przez Niemców. Chodziło o szybką orientację, umiejętność zachowania się w sytuacji krytycznej. Próba nie wypadła najlepiej: nie wszyscy potrafili zorientować się o co chodzi i ukryć w zagłębieniach terenu.

Dalszy marsz w kierunku Porąb Kupieńskich. Pierwsi spotkali ludzi. Na ich twarzach początkowo zaskoczenie i zdumienie, odruchowa chęć ucieczki, a potem szerokie uśmiechy i pozdrowienia. Bo to przecież nie w mundurach feldgrau, zniechędzeni Niemcy, lecz swoi chłopcy, polscy partyzanci. Tym razem nie po kryjomu, nocą, ale otwar-

Teremem naszej dywersyjnej działalności była Kolbuszowa i okolice wsi: Werynia, Zarębki — Dubas, Nowa Wieś i Domatków. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że nasze dowództwo nie bardzo wiedziało, co i jak ma robić. Działaliśmy jakoś bez planu, na ślepo. Nie było koordynacji ani współdziałania z innymi oddziałami. A przecież takie oddziały były, spotykaliśmy je w lesie, ale — jak później się dowiedziałem — były to inne ugrupowania, o innej orientacji i programie niż nasza. I stąd nie było „wspólnego języka”.

„Polując” na ostatnich cofających się Niemców, urządzaliśmy na nich zasadkę na zakręcie drogi Werynia — Kolbuszowa w tzw. Lasku Weryńskim, naprzeciw dzisiejszego Technikum Rolniczego. Położyliśmy się na skraju lasu, po obu stronach szosy,



cie, jawnie, w biały dzień. A więc i nadzieja na koniec wojny, na wyzwolenie. Czekali na to tyle lat.

Później Kolbuszowa, miasteczko powiatowe, miasto mojego gimnazjum. Zajęliśmy mleczarnię, zarekwirowaliśmy kilkadziesiąt kilogramów masła. Sam nosiłem w torbie kilka kostek, a gdy topniało, robiło się od ciepła rzadkie, wyrzuciłem je.

Jako znak wyróżniający nasze zgrupowanie od innych otrzymaliśmy białe-czerwone opaski z napisem „KEFIR”. Była to okupacyjna, zaszyfrowana nazwa obwodu AK Kolbuszowa. Przeprowadziliśmy rewizję w willi Kreishaupmanna, który dał się dobrze we znaki mieszkańcom miasteczka i powiatu. „Pana domu”, ani nikogo z rodziny nie zastaliśmy, zdążyli zwać z cofającym się wojskiem; dom stał pusty, nie było kogo aresztować, ani co rekwirować. Towarzysze broni wzięli sobie różne drobiazgi, ja zabrałem tylko pas wojskowy i notes z ołówkiem, mając zamiar spisywać dziejące się wydarzenia. Pas rzeczywiście mi się przydał: uwiązałem sobie u niego granat i założyłem za niego visa, którego w międzyczasie otrzymałem jako uzupełnienie mojego skromnego dotąd uzbrojenia. Wyglądałem bardziej „bojowo”.

Obozowaliśmy w różnych miejscach, w zależności od miejsca i kierunku naszego działania: to na błoniach pod Kolbuszową, to w stodole na sianie u gospodarzy, to znowu w lesie. Pamiętam jedną z niedziel. Panie z miasteczka przyniosły nam pełną bańkę od mleka jajecznicy, masło i chleb. Wtedy przyszła do mnie w odwiedziny moja siostra z koleżanką. Przyniosła mi zmianę bielizny (przebrałem się w pobliskich krzakach), mówiła, że w pierwszych dniach po moim odejściu, kiedy nie wiadano, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, bardzo się o mnie w domu martwili, ale gdy ktoś doniósł, że jesteśmy w pobliżu, w swoim powiecie, odetchnęli. Gdy w dodatku sama zobaczyła, że w oddziale naszym jest pogodny nastrój, posłyszała żarty, dowcipy — pożegnała się z mniejszą obawą o losy brata.

Przez kilka dni, a zwłaszcza nocy (bo spanie było najważniejsze) przebywaliśmy w obejściu gospodarza, bardzo nam oddanego i serdecznego, którego nazwiska dziś już nie pamiętam. Jego dom stał na uboczu, z dala od drogi, za Laskiem Weryńskim. Sypialiśmy na sianie w stodole, ale zawsze w pogotowiu, trzymając warte, z broną przy sobie, nie rozbierając się. Nie ominęła i mnie warty nocna, jak również przygotowywanie posiłku.

chcę wziąć nadjeżdżających zza zakrętu Niemców w krzyżowy ogień. Było nas kilkunastu. Uzbrojenie mizerne — jeden bergman, steny, pepesze, kilkanaście kb, granaty. Leżeliśmy na zakręcie drogi, ale las w tym miejscu był wysoki, bez poszycia, słabo nas zasłaniał. W tej sytuacji atakować Niemców, zwłaszcza, gdyby byli w większej liczbie, było wielkim ryzykiem. Na ich szczęście (a bardziej jeszcze na nasze) nie nadjechali. Wyczekiwaliśmy dobrze ponad dwie godziny, straciliśmy już nadzieję, czy w ogóle nadciągną, wobec czego zwinęliśmy „leże” i wycofaliśmy się do Kolbuszowej.

Ledwie weszliśmy do miasta, dano znać, że szosą od strony Weryni nadjeżdżają dwa samochody pełne Niemców. Wydało mi się, że był czas znaleźć bezpieczne miejsce do ich zaatakowania. Ale znowu dziwnie nieprzemysłana decyzja dowódcy: kazał nam się położyć na płaskim, niczym nie osłoniętym rynku, który nie miał żadnej naturalnej ani sztucznej osłony, ni zagłębienia terenu, gdzie by się można było schronić. Gdy Niemcy — niczego się nie spodziewając — wjechali na rynek, na rozkaz dowódcy zaczęliśmy do nich strzelać. Nie pozostali nam dłużni: kilka ckm-ów ustawionych na autach pancernych otworzyło do nas ogień. Cóż znaczyły nasze skromne „pukawki” wobec ich ckm-ów i wozów pancernych? Nie wytrzymał. Wykorzystując przerwy w strzelaniu, skokami zaczęliśmy się wycofywać, udało się nam pokonać tę kilkudziesięciometrową przestrzeń, schronić za kamienicę i do bram. Szczęściem dla nas, Niemcom śpieszyło się, nie schodzili nawet z samochodów w pogoni za nami, objechali tylko miasto, ostrzelując okna i wybijając szyby. Niestety, w tej potyczce zginął nasz dobry kolega, student z Wilna, nazwiskiem Wojda. On właśnie był posiadaczem jedynej pepeszy. Gdyśmy się pozbierali późno w nocy na stadionie sportowym, jego nie było. Ciało zabitego zabrali mieszkańcy i pochowali na pobliskim cmentarzu.

Bardzo przeżyliśmy stratę tego pierwszego towarzysza broni. Tej nocy nie powróciliśmy do naszego gospodarza za Laskiem Weryńskim, lecz każdy szukał noclegu na własną rękę. Ja z kolegą — pamiętam — przenocowałem w stogu zboża.

Okolo 28 lipca, byliśmy rozlokowani w Nowej Wsi za Kolbuszową, na podwórzu u jednego z gospodarzy. Całą noc czuwaliliśmy na zmianę. Żeby nie zasnąć, leżałem na gołej ziemi, a pod głowę dałem sobie płochę drzewa, wyjętą z sęga. Od wschodu słychać było stale huk armat i widać było błyski pocisków.

Nazajutrz naszedł front. Szosa na zachód mknęły samochody z żołnierzami frontowymi, przez pola jechały czołgi. Do decydującego starcia między oddziałami niemieckimi a radzieckimi doszło na polach w trójkącie Kolbuszowa — Zarebki — Nowa Wieś. Nasz partyzancki oddział, stacjonujący w tym dniu na skraju lasu od Nowej Wsi, również włączył się do walki, choć nasz udział, przy tak mizernym wyposażeniu bojowym, musiał, siłą rzeczy, być bardzo skromny.

Bitwa trwała ponad półtorej godziny. Brały w niej udział głównie czołgi i samoloty. Myśmy leżeli na polu od strony Zarebek, raczej na skraju terenu operacyjnego, a nie w jego środku (na nasze szczęście!). Trudno w szczegółach opisywać przebieg bitwy, ale do dziś pamiętam przeraźliwe wycie wielokrotnie pikujących „Sztukasów” i „Heinkli”, wycie, które nam, jeszcze nie zahartowanym, mroziło krew w żyłach. Samoloty bez przerwy siały kulami z karabinów maszynowych. Bryzgały małe fontanny ziemi, a liście z pobliskiego samotnego drzewa i z kartofli, dziurawione i ścinane kulami syły się po ziemi.

To był mój pierwszy, prawdziwy „chrzest bojowy”. W takich opalach jeszcze nie byłem! Jak ocalałem z tego zgiełku bitewnego — sam nie wiem. Mogłem zginąć wiele razy: od kul karabinów maszynowych, z czołgów i samolotów, od pocisków z dział czołgowych i rozrywających się pocisków armatnich. Po bitwie dziwiłem się, że jeszcze żyję.

Czy nasz udział, skromnego oddziału partyzanckiego był w tej bitwie potrzebny? Trudno mi o tym sądzić. Efekty w sensie fizycznym były zapewne znikome, ale nasze morale, nasze samopoczucie zostało mocno podbudowane.

Niemcy, przytłoczeni przewagą wojsk radzieckich, wycofali się na Niwiska i Mielec. Bitwa była skończona. Oglądałem jej skutki. Były okropne: wiele trupów stra-

żnie okaleczonych — wyrwane kończyny, kikuty rąk i nóg, rany na głowach, wyrwane wnętrzności itp. Po raz pierwszy wtedy widziałem zabitych Niemców. Podobne skutki zniszczenia były i w spręcie, taborze: palące się samochody z ich zawartością i ludźmi, rozbite auta pancerne, czołgi. Rannych z pomocą miejscowej ludności zwożono do szpitala do Kolbuszowej.

Koło południa nasz partyzancki oddział wkroczył do miasta. Witano nas i podziwiano. Między innymi spotkałem Nuśkę D., koleżankę z ławy szkolnej — w oczach zdziwienie i uznanie. Wieczorem „trzymałem” wartę przed budynkiem starostwa. Nocowaliśmy w salach tego urzędu. Bez przerwy jechały na zachód — w pościgu za Niemcami — auta i czołgi radzieckie...

Pod wieczór dnia 6 czy 7 sierpnia, skończywszy 2-tygodniową „wojawkę”, byłem znów w Dziwkowcu, w swoim domu. Wracając, po drodze widziałem i czytałem rozlepione na parkanach i budynkach plakaty z tekstem Manifestu PKWN.

Narodziła się wolność, rodziła się Nowa Polska...

ADAM ŻAK

*) Gwoli prawdy trzeba dodać, że dowództwu chodziło o coś więcej niż walkę przeciwko Niemcom. Tak rozumieł akcję „Burza” — bo o niej tu mowa — szeregowi partyzanci przepojeni pragnieniem jak najszybszego przegrania faszystów z naszych ziem. Dla głównego dowódcy AK i rządu londyńskiego „Burza” miała stać się zaporą przeciw władzy ludowej w Polsce, przeciw KRN i PKWN, miała postawić Armię Radziecką i naród polski wobec faktów dokonanych — wobec administracji „londyńskiej”, usiłującej objąć zwierzchnictwo na wyzwolonych terenach. Oczywiście machinacje przywódców z Tamizy nie mogły w niczym przesłonić patriotyzmu i bohaterstwa tysięcy partyzantów, którzy poszli w bój z hitleryzmem i dali wkład w dzieło wyzwolenia.

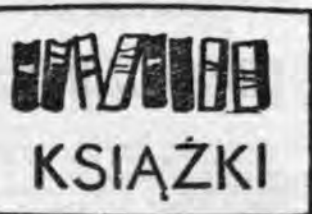
(Red.)

Stanisław Lem o swoich planach

Uwieńczone sukcesem podróże człowieka na Księżyc przyczyniła się do dalszego wzrostu zainteresowania literaturą typu science fiction. Czołowym przedstawicielem tego gatunku w Polsce jest pisarz i publicysta — Stanisław Lem. Oto co mówi on na temat swych najbliższych planów literackich:

— Skończyłem ostatnio pracę nad monografią pt. „Fantastyka i futurologia”, którą złożyłem w Krakowskim Wydawnictwie Literackim. Jest to przegląd światowej literatury fantastyczno-naukowej. Starłem się weryfikować w niej fantazje literackie z rzeczywistością. W najbliższych zamierzam — powieść fantastyczną, kryminalną o quasi wątek kryminalny.

Podpisuję także ostatnio dwie następne umowy z wydawnictwami japońskimi. Po finalizacji tych umów będę reprezentowany w tym kraju sześcioma tytułami. W trakcie rozmów znajduje się również sprawa wydania niektórych moich pozycji w Brazylii.



Sofokles: TRAGEDIE. Przel. Kazimierz Morawski. PIW, s. 534, cena zł 50.

Tom zawiera tragedie: „Ajas”, „Antygona”, „Trachinki”, „Król Edypp”, „Elektra”, „Filoktet” i „Edyp w Kolonos” — w najlepszym z istniejących polskich tłumaczeń. Autorem opracowania i obszernego wstępu jest Zygmunt Kubiak.

Kazimiera Hłakowiczówna: RZECZY ŚCENICZNE. PIW, s. 291, cena zł 20.

Tomik zawiera cztery opracowania sceniczne znakomitej poetki. Są to: „Baniulka o chuliganie, albo każdy niech dzisiaj rozstrzyga: chuligan czy nie chuligan”, „Kto wie czyje będzie na wierzchu”, „Ziemia rozdarta, albo świętość nie popłaca” i „W wigilię cudu”. Mimo różnorodności tematycznej i rodzajowej łączy je cecha wspólna: zainteresowanie człowiekiem i pierwiastkiem dobra w nim tkwiącym.

Władimir Lidin: LUDZIE I SPOTKANIA. KIW, s. 378, cena zł 25.

Kilkadziesiąt obrazków-wspomnień poświęconych ludziom, których autor znał lub przyjął się z nimi. Są to przede wszystkim wspomnienia o pisarzach więcej lub mniej znanych. M. in. o Maksymie Gorkim, Aleksym Tołstoj, Martinie Andersenie Nexö i innych. Czyta się jak lekka powieść.

Wojciech Kaidor: ZNOWU BĘDZIEMY MŁODZI. MON, s. 171, cena zł 10.

Powieść o współczesnym wojsku polskim. Wnikliwie i z humorem kreślone sylwetki psychiczne bohaterów — ludzi powołanych na trzymiesięczne ćwiczenia wojskowe. Autorem jest przedwcześnie zmarły dobrze zapowiadający się publicysta i literat.

Wojciech Roszewski: RODZAJ WIEDZY. Wyd. Morskie, s. 75, cena zł 10. Drugi z kolei miniaturowy tomik wierszy młodego poety, publikującego swe utwory również w czasopiśmie literackim.

Abdul Rahman Ghassemlou: KURDYSTAN I KURDOWIE. Tłum. Ewa Danecka. KIW, s. 293, cena zł 32.

Od 5 lat 10-milionowy naród kurdyjski w Iraku toczy zbrojną walkę o samostanowienie. Prezentowana pozycja przedstawia historię Kurdów oraz szczegółową analizę społecznej sytuacji politycznej i społecznej. Praca stanowi przekład z angielskiego oryginału z pewnymi uzupełnieniami dopisanymi przez autora specjalnie dla polskiego czytelnika.

Jan Balicki: HOLLANDIA. KIW, s. 285, cena zł 25.

W serii „Kraje” — obszerny informator o historii i współczesności Holandii. Obszernie potraktowana część omawiająca okupację hitlerowską oraz rozdział zatytułowany: „Holandia a Polska”. Liczne ilustracje.

Wiesław Sładkowski: KOLONIZACJA NIEMIECKA W POLUDNIOWO-WSCHODNIEJ CZĘŚCI KRÓLESTWA POLSKIEGO W LATACH 1815—1915. Wyd. Lubelskie, s. 286, cena zł 30.

Jest to oczywiście omówienie wykładka bardziej ogólnego i złożonego problemu. Praca zajmuje się osadnictwem żyłowi niemieckiego na ziemiach polskich w warunkach pokojowych. Oparta jest na archiwalnych źródłach, zawiera wykresy i mapy.

FILM ♦ FILM ♦

TRAGICZNA WYSPA OKINAWA

Grupa młodych dokumentalistów japońskich ukończyła ostatnio pomyślnie, choć nie bez przeszkód, zdjęcia do filmu „Wyspa Okinawa”. Kierownik grupy Yoti Adzuma oświadczył prasie, że chciał po prostu pokazać jeden zwykły dzień mieszkańców Okinawy. „Dzień” ten zaczyna się dla nich o godz. trzeciej nad ranem, kiedy to z ogromnego lotniska z potwornym hałasem wzbijają się gigantyczne bombowce amerykańskie „B-52”. Okna domów i szkół są zabite na głucho. „B-52” lecą stąd na Wietnam; lecą i wracają, tak trwa aż do nocy. Woda w studniach wieśniaków pokryta jest warstwą nafty, którą zresztą przesiąknięta jest cała gleba, zwłaszcza w rejonie amerykańskiej bazy w Kadena. Plantacje trzciny cukrowej „ozdobione” są stanowiskami dział rakietowych.

Film jest wprawdzie dźwiękowy, ale bez słowa komentarza. Zresztą komentarz jest tu zbędny. Wojskowe władze Okinawy nie ułatwiają pracy ekipie — mówi Yoti Adzuma, nierzaz musieliśmy szybko zmieniać miejsce postoju. Chcemy, żeby „Wyspa Okinawa” jak najprędzej weszła na ekrany kin japońskich. Może to w jakiś sposób wpłynie na decyzję rządu o wcielaniu Okinawy — spokojnej wyspy — wieśniaków i rybaków z powrotem do ojczyzny.

„SIERŻANT” — NOWY FILM AMERYKAŃSKI

Ostatnio weszli na ekrany kin paryskich nowy film amerykański, zrealizowany przez Johna Flynna pt. „Sierżant”. Akcja filmu toczy się na terenie Francji, wśród stacjonujących wojsk amerykańskich. Tytułowa postać, sierżant Albert Callan jest uosobieniem dyscypliny wojskowej, bezwzględnej surowości, pod którymi kryją się kompleksy i tęsknota do wielkiej przyjaźni. Obiektem „zainteresowań” sierżanta staje się młody żołnierz, który odrzuca próby zbliżenia. Zadróż, alkohol i rozpacz doprowadzają do tragicznego finału — sierżant popełnia samobójstwo. Krytyka podkreśla świetną kreację Roda Steigera, odwołując się do roli sierżanta, garnizonowego Otella, osobnika sfrustrowanego i wyobcowanego oraz dużą swobodę treści filmu.

szuży zdrowia w walce o wolność ojczyzny. Praca częściowo oparta jest na materiałach archiwalnych, częściowo na relacjach towarzyszy broni i własnych wspomnieniach.

William J. Cromie: ŻYWI ŚWIAT MÓRZ. Przel. Krystyna Kowalska. PWN, s. 476, cena zł 40.

Książka z serii „Biblioteka Problemów” w sposób interesujący w formie reportażu naukowego poznaje czytelnika z biologią, ekologią i eksploatacją mórz. Barwne opisy organizmów morskich i ich życia. Autor wskazuje, jak pełne wykorzystanie zasobów mórz pozwoli rozwiązać problem wyżywienia ciągle wzrastającej liczby ludności świata.

Nowości „Książki i Wiedzy”:

Marian Dowda: ARMIA I NAROD. s. 181, cena zł 9.

SPOŁECZEŃSTWO I POLITYKA. Wybór tekstów. Wyd. 2 uzup., s. 335, cena zł 12.

Partyjne kierownictwo i praca partii w radach narodowych. Fragmenty uchwał Zjazdów Partii, uchwał KC PZPR oraz zaleceń Komisji KC PZPR ds. Rad Narodowych. Zebrali i oprac. Witold Głowacki, s. 247, cena zł 12.

Nowości „Wydawnictwa Prawniczego”:

Zygmunt Najgebauer, Feliks Prusak: BIBLIOGRAFIA PRAWA I POSTĘPOWANIA KARNEGO 1944—1964. LITERATURA — ORZECZNICTWO. s. 1004, cena zł 170.

Andrzej Wasiewicz: ODPOWIEDZIALNOŚĆ CYWILNA ZA WYPADKI SAMOCHODOWE NA TLE OBOWIĄZKOWEGO UBEZPIECZENIA. s. 254, cena zł 25.

Mikołaj Andrełowicz, Edward Kuleza: UMOWY O WYKONANIE INWESTYCJI BUDOWLANICH. PRZEPISY, OBJAŚNIENIA, ORZECZNICTWO. s. 356, cena zł 26.



Nieznamca w pociągu.

Fot. RYSZARD BILSKI

Kartki dla Ewy

ZIEMIA

Dawno temu prawie ukradkiem przeczytałam książkę Jerzego Żuławskiego „Na Srebrnym Globie”. Moi trzeźwo myślący rodzice niechętnie patrzyli na taką lekturę, ekscytowała bowiem ogromnie i zanudzała cały dom pytaniami, na które nie mogli mi dać wyczerpujących odpowiedzi. Samotnie zdobywałam księżycowe góry i morza mając za przewodnika jedynie literacką fikcję. Była bogata i pobudzała do marzeń serce podlotka.

Szłam kamienistą dróżką skrajem przepaści, żwir chrzęścił pod nogami, byłam nad brzegiem morza, muszle schły na piasku i pachniał morszczyzn... Szłam lasem, łąką i pustynią. Byłam TAM, ale TO BYŁA ZIEMIA.

Wiedziałałam dokładnie, że to ziemia i inni zaludniający karty książek także wiedzieli, bo ich zmysły, wyobraźnia urodziły się, wykształtowały na ziemi. Tylko tymi kategoriami mogliśmy myśleć, patrząc na wysokie niebo z dyskiem światła.

I oto trzej wybrani, a przecież zwykli ludzie, pomknęli w przestrzeń, by wiedzieć, jak tam jest naprawdę. Znali już wiele tajemnic dzięki wyprawom Łuny i Surveyora, ale człowiek musi bezustannie badać sam siebie i sprawdzać swoje możliwości.

„Księżyc jest piękny, jedyny w swoim rodzaju” — powiedział Armstrong, który przez moment zawałał się przed dotknięciem stopą księżycowego gruntu. Kamery zarejestrowały ten gest, był to ułamek sekundy, w którym zawarły się plany pokoleń, żadna jednak kamera, żaden mikrofon nie oddał najskrytszych myśli tego człowieka. Był sam ze swoim sercem i przestrzenią dla nas zdobytą.

Teraz będziemy mogli nieomal dotknąć tego, o czym od dawna myśleliśmy. Zacznie się żmudna praca w laboratoriach. Uczni zważą i zmierzają każdą grudkę obcego świata. Być może, odkryją nowe pierwiastki, bakterie i minerały. Policzają je, sklasyfikują i nazwą imieniem pochodnym od Seleny. Potem w kosmos polecą inni, równie odważni jak Armstrong, Aldrin i Collins, równie jak oni zwykli ludzie. Polecą aparatura, maszyny, sprzęt i zainicjuje się era kosmicznych budów, era nowych nadziei: „mały krok człowieka, a olbrzymi ludzkości”.

Trzydzieści lat temu przeczytałam książkę „Na Srebrnym Globie”. Zanudzałam cały dom pytaniami, czy dożyję chwili, kiedy człowiek obejmie we władanie ziemię, góry i morza na obcej planecie. Starsi ode mnie powątpiewali, bo nikt nie przypuszczał wtedy, że tak szybko będziemy żyć.

Maluczko, a znajdując się pośrednicy do sprzedaży działek budowlanych pod księżycowe domki jednorodzinne, jubileuszy zrobią majątek na bazaltach oprawnych w szlachetne metale, biura podróży zorganizują wycieczki nad Morze Spokojne. Ocean Burz, w pierścieniowe Góry Teofilla, do systemu kraterów Keplera i Kopernika. Pod kopułą ze specjalnych tworzy zakwitną księżycowe ogrody. I będzie nad nimi Słońce na czarnym niebie, takie samo jak na Ziemi, a przecież inne.

Spełnione marzenia — Człowiek na Srebrnym Globie. Cóż dalej? Inne planety, inne układy słoneczne, inne światy. Hibernacja w raketach międzygalaktycznych, przekroczenie szybkości światła...

Daleko zawędrują nasze dzieci i wnuki. Może potrafią żyć gdzieś tam w przestrzeni. Może spotkają istoty, które będą im braćmi?

A wtedy... zataśkną i będą patrzeć zachłannie w błękitną gwiazdę na wysokim niebie.

Bega

ERODEK NIEPLEWIONY

Ostatnie wydarzenia w kosmosie spowodowały istną erupcję rymowanych komentarzy o autorów, nadsyłających swe utwory do naszej rubryki. Widać mocno przeżyli zetknięcie człowieka z Księżycem. Jest to również dowód, że niedzielnymi poeci najszybciej realizują w swoich rymowankach tzw. zamówienie społeczne. Reagują natychmiast na wszystkie aktualne wydarzenia nie czekając „aż się temat świeży, jak figa ucukruje, jak tytoń uleży”. M. in. pan Jan Twardowski z Pstrągowej tak pisze w wierszu „APOLLO i TWARDOWSKI

Kiedy na Księżycu
Apollo zładuje
A u mego dziadzia
się nie zamelduje

I z Księżycza wieści
Mi on nie przyniesie
To niech go mój krewniak
w kosmosie roznieście

Mój pra-praszczur żyje
Hen na srebrnym globie
Ja zaś Jan Twardowski
Rolę orze sobie

We wiosce podgórskiej
Co się zwie Pstrągowa,
Gdzie każdy chłop rolnik
Mądra zawsze głowa...

W Pstrągowej Twardowski
Jest już tylko jeden
Mieszka sobie w domku
Pod dwadzieścia siedem

Na Księżycu żyje
Twardowski bez liku
Uwierzyć zawsze
po głębszym kielichu”.

Chętnie zaglądnęlibyśmy do kielicha, by ujrzeć tam Twardowskich, ale ostrzega nas przed tym inny nasz korespondent pisząc — „myślę, że poniższy utwór wpłynie w jakimś stopniu na alkoholików, którzy przeczytawszy jak tragicznie zginął ich „kolega po fachu” będą z umiarem sięgać po kieliszek.

ROZSZARPANY PRZEZ WILKÓW

Gdy ostatni promień słońca
na zachodzie zgasł
i gdy szary mrok powoli
objął cały świat,
wyjrzał z lasu szakal głodny
i złowrogo zawył,
a ujrawszy jakąś postać
skoczył na nią cały.
To z pobłiskiej wsi mieszkaniec
aż do lasu doszedł
był on tego podchmielony
i wilka nie dostrzegł.
Rozszarpany przez szakala
zginął wieśniaczyna
byłby może i nie zginął
gdyby nie pił wina”.

J. R. — Mielec

Autorowi wprawdzie poplątał się szakal z wilkiem, ale historia i tak jest przejmująca. By nie pozostawić naszych czytelników w ponurym nastroju publikujemy na zakończenie coś urlopowego, pogodnego — fragmenty dobrych rad, nadesłanych przez innego czytelnika z Mielca dla wczasowiczów. Pisze on m. in.

„Opalaj się oraz ciesz życiem młodości.
Podnieś wzrok, niech twe uczucie młodości
będzie dla wszystkich pełne życzliwości.
Nie brak jest młodych panienek nad wodą
każda z nich pragnie poszerzyć się swoją urodą.
Używaj życia póki jesteś młody i zdrowy
Nieraz przypomnisz sobie przeminione lata,
gdy dziecko za tobą będzie wołać „tato”.
Wspomnisz, ach jaki ja byłem szczęśliwy
Patrzyłem na te cuda, czemu byłem tak leniwy”...

Otóż to, czemu?

Po „Panu Wołodyjowskim” „Potop”

(rz) Po „Panu Wołodyjowskim”, który bije rekordy frekwencji, nasi twórcy mają już na warsztacie drugą część sienkiewiczowskiej „Trylogii” — „Potop”. Podobnie jak „Wołodyjowski” i ten film realizować będzie reż. Jerzy Hoffman.

— Wydaje mi się — oświadczył J. Hoffman po powrocie z Rzymu, gdzie zapoznawał się z realizowanymi tam obecnie wielkimi filmami historycznymi — że moja wizja filmowa Sienkiewicza i jego bohaterów pokrywa się w dużej mierze z wyobrażeniami widzów. Miałem z nimi wiele ciekawych spotkań. Ogromna satysfakcję sprawiają mi liczne listy, w których miłośnicy Sienkiewicza gratulują mi ekranizacji „Pana Wołodyjowskiego”, prosząc o dalsze filmy oparte na kanwie jego powieści. Chciałbym zwrócić uwagę i na to, co nazywa się ekonomią. Od 28 marca do 30 kwietnia br., a więc w ciągu 1 miesiąca wpływy z biletów przyniosły 48 mln zł, a więc o ok. 8 mln przekroczyły koszty związane z produkcją tego filmu.

W planach — „Potop”. W chwili obecnej jesteśmy w okresie pisania scenariusza. Będą to właściwie 2 filmy, trwające po 2,5-3 godziny. Dzieli się na 4 części: „Zdrada”, „Przebudzenie”, „Zwycięstwo” i „Oleńka”. Scenariusz piszemy wspólnie z Wojciechem Zukrowskim oraz prof. Adamem Kerstenem. Wspomniane wyżej tytuły są tytułami roboczymi, choć — jak sądzę — układ ten zostanie utrzymany.

Ostateczna wersja scenariusza powinna być gotowa jesienią tego roku. Film będzie 2-krotnie dłuższy niż „Pan Wołodyjowski”. Wystąpi w nim więcej statystów, z większym rozmachem nakręcone będą sceny batalistyczne, więcej będzie dekoracji. Np. w „Wołodyjowskim” w największej scenie masowej występowało 4 tys. statystów, w „Potopie” będą sceny z udziałem 10 tys. osób. Chcę pokazać armię szwedzką taką, jaka była wówczas — armię zawodową, nowoczesną na owe czasy maszyną wojenną.



TADEUSZ RADWAŃSKI — działacz społeczny i młodzieżowy.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Na dobry barszcz za mało jeden grzyb

Do powiedzonek w rodzaju: „Kwiatek przy kożuchu”, „Pasuje jak pieśń do nosa” itp. będzie jeszcze można dołożyć — o ile zrealizuje się pomysł, ostatnio odrzucony przez red. Zbigniewa Wawszczaka w artykule „Zwycięstwo pod... Białą Górą” (Widnokrąg nr 26/1969) — „Lasowiaci spod Białej Góry”. A powiadają: od przybytku głowa nie zaboli.

Pytanie: — również i do Redaktora Z. Wawszczaka — czy skansen to tylko oryginalne zabytki budownictwa, wyposażone autentycznymi przedmiotami kultury, codziennego użytku i narzędziami pracy? Ponieważ mógłbym długo czekać na odpowiedź, sam sobie odpowiadam (jak w sklepie samoobsługowym). Otóż same budynki nawet z wyposażeniem, to właściwie tylko część parku etnograficznego. Jego podstawową częścią, niejako fundamentem to teren i otoczenie, to warunki geograficzne i topograficzne, wśród i na jakich wyrosła odpowiednio do tego przystosowana zagroda składająca się z mniejszej lub większej ilości budynków, warunkujących jak najlepsze gospodarowanie w określonej sytuacji. I to jest fundament naukowy. Wszystkie skanseny mają bowiem jako cel główny, zadania naukowe.

Dalsze pytanie: czy wiatrak może stać w nizinie?... a młyn wodny na gorze?

Na terenie naszego województwa można wyodrębnić wiele typów zagrod, a jeszcze więcej typów chałup mieszkalnych. Z tej

prostej przyczyny, że dostosowaliśmy do różnych warunków. Np. forma dachów zależy od kierunku i sily wiatrów, od warunków atmosferycznych. Prawda stara jak świat. Jeśli wspomnę sprawę skansenu dla środkowej i północnej części naszego województwa, to dostaje bólu języka: tyle razy już go strzępiłem bezowocnie. Najtrudniej przekonać do rzeczy najprostszyc. Jeśli można przenieść chałupę z Grabowa czy Krzatkki pod Białą Górę, to na podstawie takiego samego rozumowania lepiej byłoby zbudować nowe chałupy według szczegółowej inwentaryzacji, a nie przenosić srochniaków. Byłoby i taniej i wygodniej no i ładniej. A że cały świat szuka dla zabytków możliwie najbardziej podobnych warunków, to co nas to obchodzi?

Pozornie drobiazgi; lecz na terenie kolumni sandomierskiej było „gór” o fantazyjnych a zarazem historycznych nazwach. Głina w oczach, wkrótce pozostaną po nich tylko moczary lub stawki; stają jako materiał budowlany. Przecież PRL naprawdę muruje się. Jeśli do skansenu włączy się kilka chociażby widmisk gór, postawi na nich lasowiackie zagrody, to za jakiś czas będą unikalnymi dokumentami topograficznymi. A czy to nie nie będzie warto?

Czy dwa skanseny w Rzeszowskim to rzeczywiście problem gospodarczy, jak sugeruje Z. Wawszczak? Widziałem

skansen w Sztokholmie i wzorowany na nim w Rydze. Oba pomysłami bardzo inteligentnie w tym sensie że połączono w nich piękne z przyzwoitym. Oba te skanseny, bardzo rozbudowane, są równocześnie miejscem wypoczynku dla ludzi pracy i przygody oraz zabawy dla tysięcy dzieci i młodzieży. Otóż młodzież bawiąc się tam i przeżywając przygodę, zarazem uczy się. A nauka przez zabawę jest ideałem dydaktyki.

Wróćmy do nieszczęsnego Głogowa, któremu się tyle uraży — właśnie w związku z projektowanym skansenem. Ale nie gdzie indziej tylko w tym mieście ma się budować kosztami wielu milionów miejsce wypoczynku dla świata pracy z Rzeszowa, również dla młodzieży. Zbiegają się tedy dwa aspekty — jak w Sztokholmie, Rydze i wielu innych miejscach — relaks i skansen. Inaczej, piękne z przyzwoitym. Naprawdę można by złapać dwie sroki za ogon. Dla skansenu odpadają koszty urządzenia terenu (dojazdy, mosty, rzeki, staw), zaś miejsce wypoczynku zyskuje szczególną atrakcję i rozbudowany czynnik wychowawczy — naukowy. Dzięki znakomitemu połączeniu Głogów stałby się miejscem wycieczek z różnych i dalekich stron, a co najważniejsze uzupełniałby Łańcut.

I na zakończenie: zapobiegnie się powstaniu powiedzonka, co jak podalem na początku.

FRANCISZEK KOTULA

O koncepcji „dwu grzybów” — polemicznie!

Mylił się doc. F. Kotula, sądząc (... „mógłbym długo czekać na odpowiedź...”), że uchylił się od polemicznych szranków, a on nie doczeka się odpowiedzi na swoje „grzyby w barszczu”. Wprawdzie nigdy nie osmieliłbym się porównywać swej skąpej wiedzy etnograficznej z zasobami mego po piórze przeciwnika, jednakże muszę zaprotestować gdy ten w mawia mi absolutny brak rozeznania w sprawach, o których pisze.

Mój szacowny oponent wydaje się nie dostrzegać argumentów, wyłuszczonej w zakończeniu raportu „Zwycięstwo pod Białą Górą”. Napisałem tam w sposób jednoznaczny, że „o jego (doc. Kotuli) projekcie skansenu (w rejonie Głogowa pod Rzeszowem) mogę wypowiadać się jedynie w superlatywach, nie widzę jednakże realnej możliwości realizacji tego projektu”. I tutaj cały zasób przysłów, w który ubrał swą wypowiedź szacowny polemista, niestety, nie a nie nie pomoże. Realizacja najskromniejszego nawet skansenu na terenie ośrodka wypoczynkowego, który nota bene również ciągle nie może wyjść poza sferę projektów, czy też niezależnie od niego, kosztować będzie miliony! Miliony, których jak to dobrze wie doc. Kotula — nie mamy.

Bo chyba nie wyobraża sobie mój czcigodny oponent, że opracowanie planu skansenu, wybór dla niego odpowiednich obiektów, ich konserwacja, przeniesienie rekonstrukcje, plany naukowe i techniczne całego przedsięwzięcia uda się zrobić ot tak sobie, jed-

nym zrywem bez ludzi i pieniędzy.

Bardzo sugestywnie pisze zastępowy badacz kultury ludowej o skansenach w Sztokholmie i Rydze — które są równocześnie „miejscem wypoczynku dla ludzi pracy i przygody oraz zabawy dla tysięcy dzieci i młodzieży”. Nie mogę kwestionować powyższych sformułowań, nigdy nie byłem ani w Rydze ani tym bardziej w Sztokholmie, ale na podstawie jakiej takiej znajomości realiów sanockiego skansenu muszę zakwestionować przydatność, w naszych warunkach, właśnie takiej koncepcji muzeum. Przecież skansen skupia budownictwo drewniane stare, wysłużone, często, cudem odralowane obiekty, a że są one mimo wszelkich zabezpieczeń, impregnacji, materiałem ogromnie łatwopalnym, dlatego nie wyobrażam sobie ani zabaw, ani tym bardziej „przygód” tysięcy dzieci i młodzieży wśród tego typu obiektów, gdyż po prostu niezwłocznie niszczone by całe muzeum z dymem! W Sanoku chociaż, nie ma tam „zabaw i przygód” — pracownicy muzeum drżą na samą myśl o ewentualności nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.

Być może w odczytaniu tego typu muzeów dopracowano się dostatecznie odpowiednich metod zabezpieczenia przeciwpożarowego, u nas nie są one znane. Musimy się liczyć z faktami.

Przypadkowo oglądałem jeden z większych skansenów europejskich mieszczący się w stolicy Rumunii, w Bukareszcie. Lansowana przez doc. Kotulę koncepcja „dwu grzybów” (relaksu i

skansenu) nie znalazła tam, niestety, zastosowania! Rumuni przecież poważali się na rzecz z punktu widzenia mego polemisty „świątokradczą” wyrwali z naturalnych (o ile bardziej zróżnicowanych, geograficznie, etnograficznie) warunków swego kraju stare, ludowe budowle i ustawili je na równinnych terenach podmiejskich. Koncepcja ta ma zapewne swoje wady, ale też niebagatelne zalety: corocznie z rumuńskim budownictwem ludowym zapoznaje się setki tysięcy turystów z całej Europy. Zyczylibym sobie aby któryś z naszych skansenów osiągnął taką popularność!

Mimo wszystko a jak się zdaje w odróżnieniu od mego adwersarza, jestem polemistą głębokiego serca. Jeżeli Kotula wykołacza środki na budowę skansenu pod Głogowem (czego nie udało mu się dokonać w ciągu kilku nastu lat) będzie pierwsiem, który rzecz tę powita aplauzem. Wiem bowiem, że jest to rzecz poczeta z miłości do rodzinnego zakątka, a miłość jak wiadomo, nie zawsze chce się liczyć z realnymi, twardymi faktami.

Absolutnie nie rozumiem rejtanowskich sformułowań mego krewkiego oponenta, dotyczących „nieszczęsnego Głogowa, któremu się tyle uraży — właśnie z projektowanym skansenem”. Kto gdzie i kiedy urażył sympatycznemu skąd inąd, czuścikiem, ładnie ukwieconemu miasteczku? — Konkluzję rzecem temu, (jak mawiał Zygmunta Nowakowski), kto odpowie na to pytanie!

ZBIGNIEW WAWSZCZAK